60 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

№ 36
16.X.27



Ogłoszenia drobne:

Każdy z naszych Prenumeratorów ma prawo bezpłatnego zamieszczenia raz na miesiąc w rubryce poniższej ogłoszenia dowolnej treści, nie przekraczającego pięciu wierszy tekstu. W razie przekroczenia ilości wierszy, dopłaca po złoty jeden od każdego wiersza następnego. Dla wszystkich innych ogłoszenia są płatne po zł. 1 gr. 20 za wiersz.

PRACA. Posiadając lat 25, na ukończeniu studja wyższe administracji państwowej oraz chlubne świadectwa ze służby po wystąpieniu z wojska reflektuję na zajęcie w godzinach rannych lub popołudniowych. Adres: Warszawa, pl. Kazimierza Wielkiego 6 m. 72. St. sierżant Tadeusz Górski.

PSZENNO-buraczana ziemia, 109 mórg, w mieście; szkoła żeńska, gimnazjum, stacja kolej. węzłowa, w miejscu telefon, pełne zbiory, inw. żywe i martwe i nieruchomość w mieście, za 55.000 zł. J. Grzmot-Rilski. Nakło n/Notecią, Bydgoska 356.

WYSYŁAM każdemu po nadesłaniu 1 zł. najnowszy mój utwór sceniczny p. t. **„Turcy pod Wiedniem"**, tragedję dziejową w 4 akt. wraz z prologiem i epilogiem Franciszek **Lewandowski**, Uhnów.

PLAC sprzedam w Skolimowie pod Warszawą. Przestrzeń 10.000 łokci kwadratowych, zalesiony, drzewo budulcowe. W świetnym punkcie. Oferty pod litery: „N. Ł." do redakcji „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego" — Warszawa, ul. Miodowa 5.

POSADY poszukuje jakiejkolwiek mężczyzna w sile wieku, wykształcony, posiadający długoletnią praktykę biurową. Doskonały angielski i rosyjski zarówno w słowie, jak w piśmie. Żądania skromne. Oferty dla „Szukającego posady" do redakcji „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego" — Warszawa, ul. Miodowa 5.

KRAWCOWA, szyjąca tanio i estetycznie, przyjmuje obstalunki u siebie w domu. Adres: Warszawa, ul. Żórawia 18 m. 31.

PENSJONAT tuż przy Dworcu Głównym, Widok 21. Pokoje stałym, przyjezdnym.

STUDENT M. W. udziela korepetycji w zakresie 8 klas gimnazjum. Przygotowuje do klasówek. Ceny przystępne. Wiadomość: Warszawa, ul. Grzybowska 15 m. 25.

KSIĄŻKI różnej treści, stare i nowsze wydania, roczniki beletrystyczno-ilustrowane sprzedam i spis posyłam za zobowiązaniem jego zwrotu po przejrzeniu. Adres: S. Płatkowski, Myślenice, województwo Krakowskie.

MANOMETRY samopiszące, hydrauliczne kontrolne. Pyrometry. Naprawa manometrów we własnej pracowni. Jan Lewandowski, Warszawa Jasna 6, tel. 226-38.

PACKARDOWSKIE części wymienne, fabryczne, nowe, nadchodzą w najbliższych dniach na skład. Ceny bardzo przystępne. Rotax, Niecała 1. Tel. 154-87

„SAMOCHÓD", Warsztaty Mechaniczne przy ul. Nowolipki 67, tel. 61-67 i 507-96, w domu własnym, pod kierunkiem technicznym Tadeusza Lenartowicza, urządzone nowocześnie i posiadające wszystkie obrabiarki, wykonywują: Remont samochodów, części zamienne i tryby. Remonty traktorów, lokomobil, maszyn parowych w fabryce i na prowincji. Remonty maszyn młyńskich, garbarskich, drukarskich, stolarskich i innych. Roboty tokarskie, frezarskie, mechaniczne i cementacje.

TYLKO dla chrześcijan Miasto-Ogród-Izabelin. Nadzwyczajne warunki klimatyczne, czterysta włók lasów sosnowych, hipoteka czysta wydzielona, działki leśne, zagajniki, starodrzew z drzewami owocowemi i ziemią ogrodową. Nadmienić należy, że obecnie rozparcelowana dzielnica jest bliżej Warszawy i budującej się komunikacji, którą Zarząd z wiosną uruchomi, a także powstała już kooperatywa budowlana, która z pomocą kapitałów zagranicznych wczesną wiosną rozpocznie budowę domów na długoterminowe spłaty. Zarząd: Marszałkowska 136, telefon 274-86.

DRZEWKA CZEREŚNIE majówki, oraz róże krzaczaste i pnące, bluszcze, bukszpan, mahonja oraz inne do nabycia tanio. Wola, ul. Elekcyjna 29, Zakład ogr. Kaczmarczyk (dojazd tramw. 23).

SUMY hipoteczne przedwojenne przyjmuje do windykacji własnym kosztem, zapewniając właściwe przewalutowanie. Dom Komisowy Zleceń Ignacego Bergera, Jasna 22.

PENSJONAT, Chmielna 26. Pokoje z utrzymaniem.

KONSTANCIN. Pierwszorzędny pensjonat „Gryf" pod nowem kierownictwem proponuje od dnia 1 października pokoje z całodziennem utrzymaniem (lub bez takowego) komfort europejski, kuchnia wykwintna. Ceny przystępne. Informacje na miejscu.

SŁUCHAWEK radjowych magnesowanie, reparacja od złotego. Wyrób cewek samoindukcyjnych (Honeycomb), na żądanie z rozgałęzieniami. Aparaty detektorowe, lampowe, sprzęt radjowy najtaniej. Królewska 45, Korczak.

TAŃCÓW salonowych rozpoczyna nowe komplety 6 i 11 października Szkoła Kazimierza Kamińskiego, Krucza 9. Młodzież i dzieci 9-go. Dobór towarzystwa.

DO WŁOSÓW SUCHYCH Shampoo „Pumilio" nie zawiera zupełnie sody, dodatek której w shampoo'nach nawet w nieznacznej ilości, doprowadzić może do łamania i rozdzielania się włosów. Wyrób laboratorjum Wierzbięty. Marszałkowska 94.

TECHNICZNE prace budowlane, plany, projekty, kosztorysy, rachunki, kalkulacje, organizowanie robót, wykonywa tanio, szybko Spółdzielnia Budowlana Techników, Traugutta 3, tel. 271-78.

CHCESZ sobie polepszyć byt? Musisz nauczyć się stenotypistyki polskiej, obcojęzycznej, stenografji, buchalterji. Świętokrzyska siedemnaście. Kursy Pyrka. Piętnaście złotych miesięcznie. Początek pierwszego października.

FOTOGRAFICZNE aparaty. Kupno. Sprzedaż. Zamiana. Komis. Przyjmuje wszelkie roboty fotograficzne. Stanisław Bater. Marszałkowska 95.

FORTEPIANY i pianina okazyjne gruntownie wyrestaurowane sprzedaje najtaniej Skład Instrumentów Muzycznych Grimm Sukc. i Kamiński. Rymarska 7. Odpowiedzialnym na spłaty. Zamiana—kupno.

Prosimy o odnowienie prenumeraty po zł. 2 miesięcznie.

Opłata pocztowa ryczałtem 16—23 października 1927 r. Cena 60 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 2.—
Kwartalnie.	„ 6.—
Półrocznie.	„ 12.—
Rocznie	„ 24.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p
Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych fotografij i rysunków Redakcja nie zwraca.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

DLA PRENUMERATORÓW CO TYDZIEŃ OSOBNY DODATEK POWIEŚCIOWY W ARKUSZACH KSIĄŻKOWYCH I NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 36

Kartki z raptularza

NASZA ILUSTRACJA TYTUŁOWA Modlitwa dziecka... Ileż razy temat ten był wyzyskiwany i w poezji, i w muzyce, i w malarstwie, i w rzeźbie!

I nic dziwnego, gdyż tyle czaru i uroku wydobyć z niego można...

Modlitwa dziecka, czysta, niezmącona grzechami życia, to potęga, to prośba, płynąca wprost przed tron Pana nad Pany, by była wysłuchana, to najpiękniejsza spowiedź myśli i uczuć o anielskiej treści.

Na ilustracji naszej widzimy modlące się dziewczę łowickie — latorośl tego ludu, który potrafi jeszcze modlić się go.ąco i szcz.rze, i od młodu do serdecznej modlitwy pacholęta swe zaprawia.

PRZYPOWIEŚĆ NA CZASIE. W talmudzie znajdujemy ciekawą przypowieść o dzbanie i o kamieniu:

— Pewnego razu dzban rozsierdził się srodze na kamień. Myślał więc, myślał, gniew w sobie tłumił, aż pewnego razu nie mógł już wytrzymać i, pragnąc się zemścić, z całej siły rzucił się na kamień. Kamieniowi nic, a z dzbana zostały tylko skorupy...

Tak i teraz litewski dzbaan srodze rozsierdził się na polski kamień. Litwa ruguje u siebie szkoły polskie, pastwi się nad polskimi nauczycielami, prowokuje Polskę.

Ostrożnie, bo będą... skorupy!

O BAŁWANY, BAŁWANY!... A więc czowu czytamy:

— Korona arcydzieł sztuki filmowej... najpotężniejszy z monumentalnych superfilmów... rolę kobiecą odtwarza najnowsza rewelacja aktorstwa filmowego... reżyserował genjalny reżyser... coś zgoła arcymonumentalnego... film-olbrzym... arcydzieło, będące królem arcydzieł filmowych i t. d. i t. d.

Tak i teraz litewski dzban sromota filmowa, tak niemiłosiernie znęca się nad językiem,tak deprawuje mowę, którą, pono, dał Bóg człowiekowi, by go odróżnić od bydlęcia.

I są pismaki, co za psie grosze, pozwalają sobie na takie cyrkowe harce i błazeństwa, na takie oszałamiające kozły i wyrwasy, na takie kpiny ze zdrowego rozsądku i smaku tych, co mają poczucie treści i formy w mowie ludzkiej.

Oj, bałwany, arcybałwany, superbałwany!

A toż kija na was!... Język to skarb i świętość...

OSZUKIWANIE NAIWNYCH... *Mundus vult decipi* — głosi starożytne przysłowie, oznaczające po polsku:

Świat chce być oszukiwany!

Bo i czyż tak nie jest? Czyż nie zapstrzyło się znowu w pismach od ogłoszeń różnego rodzaju grafologów, chiromantów, wróżbitów, fakirów i fakirek? Jeszcze trochę, a i w tej dziedzinie usłyszymy o „fascynujących wyczynach" niezmierzonej i „gigantycznej" prawdy, odsłoniętej przez „super-magów" doby współczesnej.

A przecież to wszystko blaga i wyciąganie naiwnym pieniędzy z kieszeni, które mogłyby być użyte znacznie produkcyjniej, niż na wzbogacanie oszustów i szarlatanów, ośmielających się nawet używać tytułu „profesorów".

Bo i jakże nazwać grafologa, który, mając w ekspertyzie pismo jednego z najwybitniejszych uczonych, orzeka iż jest to pismo skończonego zbrodniarza (fakt autentyczny)?

Jakże określić chiromantę, który otwarcie się przyznaje, że wróży tylko dziewczętom, bo to tak przyjemnie młodą i ładną rączkę trzymać na swej dłoni?

A jednak są poważne skądinąd organy prasowe, które wprowadziły u siebie płatny dział grafologji dla swoich prenumeratorów, by pomnażać szeregi naiwnych, krzewić otumanianie umysłów i tuczyć „profesorów" od oszukiwania ludzi.

I dziwne to, i nie licuje...



CZY NIE ZA DUŻO?... Jak grzyby po deszczu zaczynają się u nas mnożyć wciąż nowe pisma kobiece...

Jest kilka świetnych i prosperujących od dłuższego czasu. Wystarcza chyba. Gdzietam?

Ma się wrażenie, że kobieta nie jest zdolna do czytania pism ogólnych, koniecznie musi mieć pisma specjalnie kobiece.

Ma już je, więc po co ten nadmiar? Co za sztuczny podział ogółu czytającego według płci! I co za rolę odgrywa tu płeć? Znowuż jakiś owczy pęd...

Z mojej karjery... Wywiad XXXII

Wacław Filochowski

Z mojej karjery?

To zgłoście się panowie do mnie lepiej po mojej śmierci, a czemu tak późno — zaraz to wytłumaczę. Jeżeli się chce zrobić karjerę, nie otrzymawszy od przyrody w posagu fenomenaalnych jakich uzdolnień, to trzeba przynajmniej umieć zdobyć się na świadomy, nieugiętą wolą wspierany wysiłek i chytry podstęp w tłoku współkonkurentów, a pozatem mieć zawsze w zanadrzu środki zastępcze, łagodniej, ale nie mniej skutecznie działające — na myśli mam obłudę, mydło i wazelinę. Ja zaś jestem nieuleczalny próżniak, leniwiec, tłoku nie znoszę i bardzo mi na tem zależy, żeby mieć święty spokój, którego nie pozwolę zakłócać nawet jakiejś tam karjerze.



WACŁAW FILOCHOWSKI
popularny i ceniony za swój oryginalny talent pisarz i nowelista.

Najciekawszym bezstronnie przejawem mojej indywidualności, że tak powiem, twórczej, jest cykl dokonanych przezemnie odkryć i wynalazków. Moja to ci jest koncepcja maszynki do oskubywania zajęcy i strzyżenia gęsi; to ja wpadłem też na dobry pomysł udoskonalonego konia do karuzeli; jam ci to wykombinował ampulaksowo-chomidamiczny termometr do mierzenia temperatury smoły w piekle; mnie przypadł w udziale zaszczyt obmyślenia nowego rusztu do krematorjum; nikt inny tylko ja sporządzałem sos uniwersalny, i odkryłem klucz, rozwiązujący wszystkie literalne zadania matematyczne, szarady i zagadki; mnie również zawdzięcza ludzkość środek, p. nazwą „Satis", dziesięciokrotnie wzmacniający działanie alkoholu na umysł (ważne dla ubogich i początkujących pijaków!) i t. d. Ja wreszcie uprościłem zasady gry w szachy, a uprościłem tak dalece, że szachy staną się zbędnym gratem, nikt bowiem grać w nie nie zechce, chyba istota na umyśle bardziej jeszcze upośledzona, niż zawodowy szachista. Nadmieniam, że wszystkie te wynalazki żyją narazie w sferze pomysłów. Niechaj urzeczywistnią się po mojej śmierci. Poco, jako prorok własnego kraju i reformator życia, mam się narażać zrazu na ukamienowanie, później na stos niechybny, a dopiero potem, w nagrodę za doznane cierpienia, na spóźniony majątek i zaszczyty? Ale wtedy będzie karjera i wtedy zwrócicie się do mnie po wywiad (adres bliższy: w niebie!)

Z pośród sztuk pięknych, największy respekt budzi we mnie muzyka i architektura, jako sztuki, które osiągają swój wyraz bez użycia słowa, przez wszechgadulstwo demokracji wyprztykanego z sensu i wartości wzruszeniowej. W budownictwie dojdzie u nas do dużych wyników: młody Bohdan Pniewski, warjat, ale zna sekret harmonji w przestrzeni. W muzyce zaś odtwórczej, czujna na ideje a jakby wrażliwa na rytmy kosmiczne, żadną jeszcze nagrodą konkursową niezdemoralizowana, szlachetna na wielkich występach, ale nieporównana w kameralnej robocie, piękna i mądra Wanda Piasecka. Tym to artystom, w życiu iście po polsku niezaradnym, będę zawsze czynił reklamę, do upadłego, przy każdej sposobności, nawet przy okazji końca świata (dożyjemy, dożyjemy!). Już teraz żądam od was, żebyście wznieśli na ich cześć zapalczywy okrzyk.

Ja sam, mówiąc nawiasem, w muzyce nie jestem już bez jakich takich zasług. Oprócz kilkunastu piosenek, zawsze z innego tonu i na inną melodję śpiewanych, piosenek, które, jak chór słuchaczów zauważy, zawsze do czegoś są podobne i zawsze coś komuś przypominają („gdzie to ja to już kiedyś słyszałem..."), zatem oprócz tych kilkunastu piosenek mam na sumieniu przed dziesięciu laty popełnioną pierwszą moją, a już egzotyczną kompozycję. Stworzyłem ją w transie, wywołanym chemicznie (Martel, Meukoff 1847, Bass et Co, a wkońcu Haberbusch i Schiele). Pierwszy ów opus, kreślony na papierze nutowym bez znajomości nut i po ciemku, więc ściśle intuicyjnie, muzykolodzy zakwalifikowali jako typową dumkę zanzibarską na temat „Osły u wodopoju", a przeznaczoną do grania przez istoty dziewięciopalczaste, obdarzone trzema conajmniej rękami. Jak widać, nawet w transie zdradzałem szeroki gest i skłonności do wytwarzania rzeczy luksusowych. Pozatem mam zupełnie już gotową numerację do nienapisanych jeszcze pięciu symfonij (I, II, III, IV, V), tonacje do trzech koncertów fortepianowych (as-dur, a-mol i es-mol), oraz tytuły do trzech wielkich oratorjów („Oremus", „Gaudeamus" i „Hic jacet").

Jaki jest najszczęśliwszy dzień mego życia? Otóż właśnie, że nie dzień, ale noc. Noc moich urodzin. Najszczęśliwsza z moich dób. No, bo gdybym się nie urodził, to byłaby gruba krzywda i wielkie świństwo. Wprawdzie mamka, niańki, korepetytorzy, wychowawcy, familja, narzeczone i moja gospodyni, całkiem innego byli zdania, ale przecież nie z nimi „Tygodnik" odbywa wywiad, tylko ze mną, więc nie ich opinja tu waży, ale moja. Drugi mój moment szczęśliwy, tym razem już zdaje się dzień, to chwila, kiedym stwierdził praktyczną i obronną wartość łgarstwa, wartość oczywistą naprzykład w odpowiadaniu na kwestjonarjusze, ankiety i wywiady, usiłujące wtargnąć do sekretów mego żywota, moich zamierzeń i moich dat.

Zasadniczem mem zajęciem od lat dziewięciu jest poszukiwanie cichego pokoju przy bardzo cichej, niekoniecznie nawet żywej już rodzinie. Za pokój taki gotów byłbym zapłacić każdą, najwyższą nawet sumę (w granicach stu złotych miesięcznie).

Hindenburg!



Prezydent Rzeszy Hindenburg, w 80-ą rocznicę swych urodzin „przemówił“ ustami narodu...

Z depeszy b. cesarza Wilhelma do feldmarszałka Hindenburga z okazji poświęcenia pomnika pod Tannenbergiem:

„Wysłanemu przezemnie z poleceniem uwolnienia za wszelką cenę Prus Wschodnich od nieprzyjaciela udało się Panu i jen. Ludendorffowi, dzięki waszemu nieporównanemu dowództwu, odnieść wspaniałe zwycięstwo na czele oddziałów, ożywionych duchem odporności i męstwa i przy pomocy pełnych oddania współpracowników i niższych dowódców, pochodzących przeważnie ze szkoły mego dawnego szefa sztabu, hr. von Schlieffena. Bitwa pod Tannenbergiem okazała całemu światu, do czego zdolna jest siła niemiecka, prowadzona przez świadome celu kierownictwo. Oby duch bohaterów tannenberskich mógł przeniknąć i zjednoczyć nasz naród, rozszarpany rozterką. Wówczas dokona on znowu cudu i nie będzie daremną ówczesna śmierć walecznych, którym dziś pomnik poświęcamy. Wówczas z Bożą pomocą znów się podniesiemy“.

*

Z mowy Hindenburga pod Tannenbergiem, który, jako Prezydent Rzeszy, oświadczył między innemi:

„...Odpieramy oskarżenie, jakoby Niemcy winne były tej największej ze wszystkich wojen... wojna była dla nas środkiem do utrzymania swego bytu wobec całego świata wrogów... Niemcy gotowe są zdać z tego sprawę wobec bezstronnych sędziów...“

Grunwald, Tannenberg, Hindenburg!...

Już z samego dźwiękowego zestawienia tych trzech wyrazów wydobywa się hasło, nawołujące do czuwania i straży. Gra w nich jakaś złowieszcza muzyka, słychać tętent cwałujących koni, zgrzyt żelaza i huk strzałów armatnich, a dodajmy do tego dzisiaj, warkot motorów i śmigieł lotniczych oraz trupią woń trujących gazów.

Hindenburg — to zdławiony krzyk niemieckiego odwetu, to obraz tych piekielnych zmagań, które czekają Polskę w niedalekiej może przyszłości z odwiecznym jej wrogiem, co nie przestaje kuć młota zemsty, by razić nim tych, których nienawidzi najbardziej. Nas przedewszystkiem, bo ze wszystkiem się chciwy prusak pogodzi, ale nie wydarciem dziedzictwa piastowego, które kradł i uszczuplał przez tyle wieków.

Dźwięczało to w ostatniej mowie obecnego towarzysza - prezydenta Hindenburga, nie tak dawno jeszcze cesarsko-królewskiego generała, skąpanego w krwawem morzu rozpętanej przez Niemcy wielkiej wojny.

Osiemdziesięcioletni ten starzec, dziś pierwszy obywatel „demokratyczno-socjalistycznej“ Rzeszy Niemieckiej, nie potrafił ukryć miotających nim uczuć i, dając folgę ustom, przemówił właściwie ustami całego narodu, który pod pokostem prądów, narzuconych przez klęskę wojenną, nie zmienił się ani na jotę i nie przeobraził duchowo i wewnętrznie.

Bluznął ku Polsce takim jadem nienawiści, ślepiem takiej zemsty wparł się w jej żywy i krzepnący organizm państwowy, że, gdyby słowa mogły się zamieniać na stal i żelazo, nie zostałoby z nas ani śladu.

Usłyszała to Polska, usłyszał świat cały. I jeżeli był kto jeszcze, kto wierzył w dobrą wolę i pokojowe zamiary Niemiec, to przekonał się, jak dalece się łudził i jak chytrze wyprowadzany był w pole przez wilków, pozujących na niewinne jagnięta.

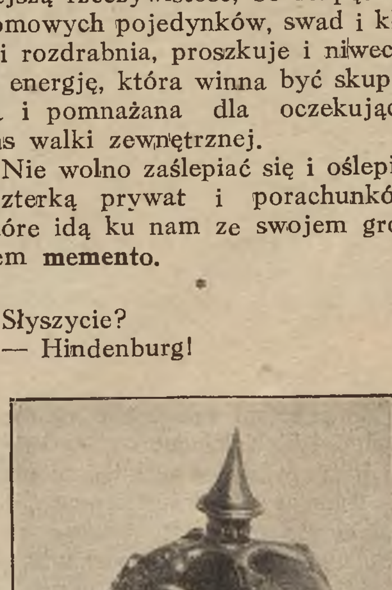
A jakaż lekcja płynie stąd dla nas?

Uchem serca mamy się wsłuchać, a okiem rozumu spojrzeć w dzisiejszą rzeczywistość, bo rozpętanie domowych pojedynków, swad i kłótni rozdrabnia, proszkuje i niweczy tę energję, która winna być skupiona i pomnażana dla oczekującej nas walki zewnętrznej.

Nie wolno zaślepiać się i oślepiać rozterką prywat i porachunków, które idą ku nam ze swojem groźnem **memento.**

*

Słyszycie?
— Hindenburg!



Czarne i białe, czyli obrazki życia współczesnego stolicy

Przedmieścia i okolice Warszawy wołają o pomstę do nieba

Warszawa — Paryż środkowej Europy! Warszawa — modna kokietka, wdziękiem swym narzucająca się każdemu z przyjezdnych!

Tak z dumą i tkliwością o stołecznym grodzie mówi niejeden warszawiak i niejeden dobry Polak, poczciwie rozkochany w tem, co swoje i własne.

Chwalebne to i godne uznania...

Jednak dobrze jest czasem, bez pomniejszania uczuć miłości i przywiązania, spojrzeć rzeczywistości prosto w oczy ,by ujrzeć w nich właściwe, nieprzesłonięte woalem optymizmu odbicie.

Niestety, Warszawa, zwłaszcza powojenna, nie jest ani Paryżem środkowej Europy, ani modną kokietką, raczej w wielu swoich dzielnicach odrapaną z tynku świeżości babinką, a już w peryferji przedmieść i okolic łachmaniarką, brudną i zafetorzoną, aż wstyd!

Rzadko które miasto jest tak wyjątkowo zaniedbane i tak ubogo wyposażone w piękno podmiejskie, jak nasza Warszawa. A toć przecież tortura dla oczu, które z wzrastającą odrazą szukają choć śladu czegoś estetycznego, na czemby spocząć mogły, i udręka dla ciała, które nawet w najwygodniejszym samochodzie, tłukąc się po wybojach i wertepach, zwanych podmiejską szosą, przyprawiane jest o paraliż poszczególnych członków lub objawy morskiej choroby. Cóż, kiedy wołanie o europeizację przedmieść i okolic stolicy to glos na puszczy, to strzały w próżnię, z których żaden jeszcze nie trafił do celu.

*

Na przedmieściach i w okolicach podmiejskich Warszawy można się na każdym kroku natknąć na obrazki, tchnące średniowieczem, kiedy ludzie nie wiedzieli jeszcze, co to jest wodociąg w mieszkaniu albo kanalizacja i, obcując z naturą, naturze i w naturze składali w darze wszystko co mogli.

Brr!

Nawet współczesne środki lokomocji, jak kolejki dojazdowe, które obsługują okolice stołeczne, tak są zaniedbane, tak brudne, tak niechlujne, jakgdyby specjalnie postawiły sobie za zadanie prawo mimikry w postaci bezwzględnego upodobnienia się do całokształtu otoczenia. Syczą, dymią, kopcą, kurzą, plują, gwiżdżą jakimś ochrypłym pijackim głosem, a pasażera, który jechał z półgodziny, czy „biały" był czy „czarny", wypuszczają ze swych czeluści w postaci „czarnego" murzyna, niwelując wszelkie różnice ubrania, wyglądu i przynależności partyjnej.



Z okolic podmiejskich Warszawy: W Kaczym Dole (okropna nazwa!) w epoce pary, elektryczności, aut, samolotów, radja, kina i t. d. i t. d. jedynym środkiem lokomocji jest... to, co na obrazku.

Całości krajobrazu podmiejskiego dopełniają jeszcze gdzieniegdzie, jak naprzykład w Kaczym Dole (skąd taka okropna nazwa?)... tramwaje konne w epoce pary, elektryczności, radja, kina, aut, samolotów, gazów trujących i t. d.

Obrazki nawskroś egzotyczne, dla mieszkańców miast zachodnio-euro-



Z okolic podmiejskich Warszawy: Na przedmieściu stolicy, zwanem Marymontem, spotkać można jeszcze obrazki, przypominające Arabję — wodociągi w mieszkaniach i kanalizacja są tam dotąd nieznane.



Ponury obrazek już nie z okolic czy przedmieść, a z samej Warszawy: Na ulicy Marszałkowskiej w godzinach wczesnego ranka, gdy odbywa się zamiatanie ulic, tak i na takich wózkach rozwozi się do jatek „pierwszą krzyżową“ z tyfusem, „boczek“ z dyfterytem i „zrazową“ z gangreną...

pejskich wprost nie do uwierzenia i nie do pomyślenia.

*

A nawet w Warszawie, na jej najludniejszych arterjach, można się też natknąć na okropności.

Godzina 7-a rano... Ulica Marszałkowska... Ruch jeszcze słaby, dopiero się budzi...

Rozwożą wiktuały, pieczywo, mięso... Zwłaszcza ostatnie, dostarczane do jatek często na prymitywnych ręcznych wózkach, nieosłoniętych i niczem niepokrytych, wystawione na kurz, brud i pył zamiatanych o tej porze ulic, staje się narzędziem rozwożenia zarazy. I po co to pisać o jakichś tam „heinemedinach“, które wędrują do nas z zagranicy, kiedy mamy nawet w stołecznym grodzie na każdej ulicy swego własnego ‚heine-medina“, który codziennie o 7-ej rano rozwozi „pierwszą krzyżową“ z tyfusem, „boczek“ z dyfterytem, a „zrazową“ z gangreną?



Na targowiskach warszawskich: — Nie, moja pani, sprzedaje pani owoce, a kupuje stary papier i stare szmaty, i wszystko razem, bez protokółu się nie obejdzie...

Albo kramy uliczne, gdzie brudna i w skołtuniałej peruce Ryfka sprzedaje owoce, makagigi, czekoladę i cukry, a ponieważ handluje jednocześnie trochę „ze starym papier“ i „ze starym szmatem“, więc ma wszystko tuż obok, oniemal pomieszane razem.

Całe szczęście, że zjawia się tu i owdzie rzecznik współczesnej kultury, cywilizacji i hygjeny — policjant polski — który twardo oświadcza:

—Moja pani, nic nie pomoże, bez protokółu się nie obejdzie...

*

Inaczej trochę wygląda nocna Warszawa.

Jarzą się tysiącami migotliwych świateł różnokolorowe szyldy, owczy pęd bowiem nakazał kupcom prześcigać się w pomysłowości w kierunku upstrzenia stolicy.

Migocą więc figlarnie światła i światełka, gdyby urągając pogromowemu wyglądowi wystaw sklepowych, które przeważnie, jak „illo tempore“ zabite są szczelnie deskami.

Wygląd stanu wyjątkowego, zwłaszcza przy groźnej postawie pięknie umundurowanej straży nocnej, ukrytej we wnęce bramy, gdyby w zasadce.

Gwarno przy parówkach na rogach ulic, wygoda i komfort, bo tuż sunie usłużny filjant monopolu

Wszystkiego wbród, każdy się krząta koło swoich interesów, nawet biedota, co, nie mogąc znaleźć jakiegokolwiek przytułku wędruje z ławki na ławkę, z bramy do bramy, gdy stróż porządku publicznego, bezradnie rozkładając ręce, pilnie jednak przestrzegając litery prawa, przepędza nędzarzy gratisowego schronienia.

*

A więc...

Bez przesady i poetyckich uniesień!

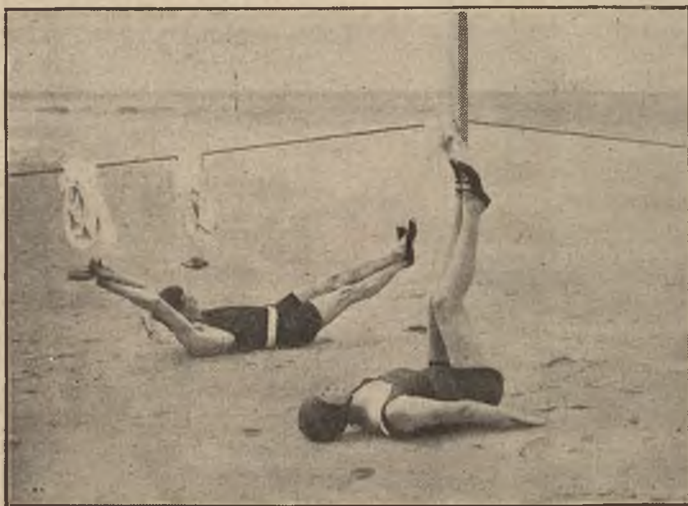
Dlatego właśnie, że kochamy swoją stolicę, dlatego że jesteśmy do niej przywiązani, zacznijmy w niej tępić bezlitośnie niechlujstwo i zaniedbanie, nie przesłaniając sobie wzroku pięknym frazesem o Paryżu środkowej Europy i modnej kokietce.

Przedmieścia i okolice Warszawy wołają o pomstę do nieba!

Warszawiak.

A jednak nie wszędzie jesień...

(Korespondencja z plaży miljonerów w Deauville w Normandji)



Na plaży w Deauville: Nawet i teraz nie ustają wesołe „wy-czyny" nad brzegiem morza".

Jakiś stary cynik wymyślił przysłowie, że „pieniądz przyciąga pieniądz".

W zastosowaniu do Deauville brzmiałoby ono, że „kasyno przyciąga miljonerów". Boć tak jest też istotnie, jeżeli chodzi o tą tak popularną, ekscentryczną i kosztowną miejscowość kąpielową, na szerokiem piaszczystem wybrzeżu Normandji położoną. Zapewne woda morska i milowa wygodna plaża ma tu swoje zastosowanie pod względem sportowym i hygienicznym, lecz myliłby się ten, że to one właśnie są celem dorocznych pielgrzymek 1000 i jeden miljonerów i najbogatszych ludzi z całego świata. Pływanie, tenis i wszelkie energiczniejsze wysiłki na świeżem powietrzu — to rozrywki dla zwykłego letniskowego plebsu, ludzie „naprawdę szykowni i ekskluzyjni" spędzają tu swój żywot tylko między hotelem a kasynem, względnie wyścigami, zmieniając, oczywiście, garderobę cztery razy na dzień.

Czemże to owe słynne kasyno tak fascynuje tych wybrańców fortuny? Czy elegancją i wdziękiem swego tarasu dziewiczo kwiatami umajonego, czy może świetną muzyką i dancingiem swej uroczej restauracji „Les Ambassadeurs", a może arcymodne niewiasty z czterech końców świata są tu główną atrakcją, Gdzietam! Wszystko to razem ma swój cel i przyczynia się do stwarzania specyficznej atmosfery wyrafinowanego luksu, lecz tym jedynym magnesem jest tajemnicze słowo: „Baccarat"! To już nie pospolita ruleta czy inne „koniki", lub poprostu „trente et quarante", ale wręcz „baccarat", czyli karciany proceder, przy którym robi się szybko miljony, ale jeszcze szybciej je się traci. I rzeczywiście, poza kasynem w Monte Carlo największa dzisiaj gra „idzie" w ślicznem kasynie w Deauville. Tuż już nie chodzi o „ludwiki", ale o całe stosy sztonów, reprezentujących coraz godniej kredyt Banku Francji w kieszeni szczęśliwego posiadacza mocnej zaoceanowej waluty. Przegrane lub wygrane po kilka miljonów franków są tu na porządku dziennym w „salon privé" kasyna, do którego są dopuszczani tylko finansowo „akredytowani" goście.

Skąd się jednak bierze ten niesamowity splendor stylowego kasyna, jego luksusowego wnętrza, po królewsku rozsianych klombów i trawników nadbrzeżnych, dla których Deauville słusznie jest zwana „plage fleurie". Kto łożył na budowę mozajką i marmurem zdobionych łazienek i wodotrysków; kto daje fundusze na wszystkie „grands prix" na torze wyścigowym, czy na dziesiątki różnych konkursów sportowych, kulinarnych, modnych czy wręcz popisów piękności nóżek damskich, trykotów lub piesków (dzieci są niemodne)?

Na to odpowiedź: „Kaniota!" Dziwna ta nazwa oznacza skromny 10-o procentowy haracz, jaki każdy krupjer od „baccarat" pobiera od każdorazowej „puli". Można sobie wyobrazić, jakie w ten sposób sumy przenikają do kieszeni pomysłowego zarządu tego raju snobów i pasorzytów. Dla przykładu możnaby zacytować, że ktoś obliczył, iż, gdyby zamknąć dziesięciu ludzi w jednym pokoju na całą noc i dać każdemu do gry w „baka" po dziesięć tysięcy franków, to nad ranem cały ten okrągły miljon połknie bezboleśnie „kaniota". Pomimo to są ludzie, którzy z zapałem i zapamiętałością uprawiają ten kosztowny nałóg, i to ludzie zgoła inteligentni i w chwilach opanowania



Na plaży w Deauville: Nie brak i gości, którzy przyjeżdżają na samolotach, by również próbować szczęścia w „baccarat".



Na plaży miljonerów w Deauville nie brak kupców wschodnich, handlujących perłami i różnemi kosztownościami.

zdający sobie sprawę z tego kolosalnego wyzysku. Cóż robić, kiedy w każdym człowieku drzemie potrochu chętka ryzyka, częściej zwykła chciwość i ludzki brak zadowolenia z tego, co się już ma. Nie dziw tedy, że Deauville może sobie pozwolić na taki barbarzyński splendor, na który składają się najprzedniejsi architekci, dekoratorzy, kuchmistrze, ogrodnicy i czeredy wszelkiego rodzaju dostawców przyjemności i zbytku za drogie pieniądze.

Różnojęzyczna i różnokolorowa publiczność Deauville dzieli się pobieżnie na dwie kategorje: na takich co bez snobizmu przybyli tu odetchnąć świeżem powietrzem i dzieciom swym radość kąpielami morskiemi wyprawić, i na tą potężną i ton nadającą grupę, która tylko patronizuje kasyno, restauracje i dancingi oraz bary. A tych nie brak, i oni to swym międzynarodowym rozgwarem, barwnością i rozrzutnością wchodzą ze sobą w zawody w pogoni za tanim rozgłosem i ekscentrycznością. Zamiast łykać morskie powietrze dowoli, wolą się tłoczyć pięcioma rzędami około zielonych stolików „baccarat'a", lub pogrążać w pseudo-flircie podczas tanga i charlestona. Energiczniejsi grają jeszcze w golfa na pobliskich terenach, ale więcej, zdaje się, dla mody, niż dla przyjemności.

Zasadniczą jednak cechą tej morskiej kosmopolji, poza czysto miejskim trybem życia, jest przedewszystkiem chęć imponowania wszystkim po kolei i każdemu z osobna. Ponieważ arcy-kosztowne auta, których rzędy stoją cały dzień i noc przed kasynem, już nie wystarczają, więc każdy z tych miljonerów oczywiście (od właściciela zwinnej „Hispano" począwszy), sili się na jakąś ekscentyczność stroju lub manier i t. d. Jeden chadza z całym zaprzęgiem foxterjerów czy „chińczyków", jakaś kokietka uważa za szczyt elegancji popisywać się małpą, lub jakimś zgoła — nieszkodliwym wężem, ten nosi spodnie w zieloną kratkę, inny czerwoną pelerynę, a jeszcze inny, jak znany malarz japoński, Fudżita, kolczyki w uszach i bransoletki, nie mówiąc już o kostjumie, który jest orgją wschodnio-azjatycko-nowo-paryskich kolorów. Ale prym tej manji ekscentryczności wiodą niezawodnie tak zwane zpolska „białogłowy". Czego też już nie wymyślą pod postacią strojów, kapeluszy, parasoli, a najwięcej kostjumów kąpielowych, o tem się napewno nie śniło filozofom. W wodzie, rzecz jasna, nie bywają, bo możnaby się zmoczyć i zaziębić, wystarczy jednak popisywać się swym nowym, możliwie najnowszym i najoryginalniejszym kostjumem, by zyskać sobie uznanie i zainteresowanie różnych przygodnych i zawodowych gapiów, a czasem wzmiankę w jakiemś pisemku.



Ostatni „krzyk" mody na plaży w Deauville.

Deauville, Normandja.

Stefan Kleczkowski.



Kasyno w Deauville, gdzie przy grze w „baccarat" przepływają miljony franków z kieszeni do kieszeni.

Z pól Radzymina

Radzymin był dla Polski tem, czem dla Francji Verdun



Kaplica=pomnik pod Radzyminem w chwili uroczystego nabożeństwa.

Siedem lat minęło od chwili krwawych zapasów u wrót Warszawy...

Krew dawno już wsiąkła w ojczystą niwę, rozpierzchły się jej opary, a z mgieł porannych wyłonił się pomnik=kaplica, aby w niej duch padłego kapłana sprawował służbę Bogu.

Każdego wieczora, gdy zamrą ostatnie promienie słoneczne, ucichszy się gwar ludzki, na niebo wypłynie srebrzysty księżyc, ksiądz Skorupka wiedzie duchy tych, których sam wiódł w śmiertelny bój. I ciągnie liczny korowód duchów do kaplicy= pomnika, aby dziękować Stwórcy za zwycięstwo.

Duchy to tych, co z wysiłkiem rozpaczy stwarzając tamę dzikim hordom, runęli falą niepowstrzymaną na nieprzyjaciół, by ostatecznie ich rozgromić, padając na szańcach.

Siedem lat przeszło, jak pola Radzymina były dla Polski tem, czem dla Francji Verdun...

Tu i tam wróg widział zdala już stolicę, głosząc w swych krajach zwycięstwo.

Na polach Osowa i Radzymina liczne zostały mogiły.

A dzisiaj na tych polach znów stanęły karne szeregi szarej braci, oręż trzymając u nogi, lecz nie po to, by osłaniać stolicę, a po to, by, prezentując broń, hołd złożyć poległym na polach Radzymina.

I tak rok rocznie ożywią się te pola, zapłoną światła na mogiłach, modlitwa popłynie pod niebiosa za tych, co krew i życie oddali ojczyźnie.

Na miejscu gorących walk, tytanicznego zmagania braci naszej, stanął pomnik=kaplica, aby świadczyć pokoleniom o ciężkich i krwawych zapasach zakończonych triumfem Rzeczypospolitej.

Z. Jastrzębiec.

*

Poświęcenie kaplicy=pomnika i odprawienie egzekwij nad wspólną mogiłą bohaterów, wobec Najwyższego Dostojnika Rzplitej — było następnym punktem uroczystości.

Wzruszenie opanowało słuchaczy gdy ks. biskup przypomniał, że zwycięstwo pod Warszawą przypadło w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny, Królowej Korony Polskiej, która płaszczem Swej opieki okryła walczące oddziały pacholęcych hufców.

Łzy cisnęły się do oczu, gdy kaznodzieja wpatrzony w niebo dziękował Bogu za zwycięstwo i prosił o pokój, ład i zgodną współpracę dla dobra kraju!

Na zakończenie uroczystości odbyła się defilada przed p. Prezydentem oddziałów wojskowych, policji i przysposobienia wojskowego.

Jakże odmienny charakter miała ta defilada od wszystkich dotychczasowych defilad. Defilada regularnej armji, stróżów bezpieczeństwa i tych co się dopiero sposobią do spełnienia w przyszłości obowiązku żołnierskiego — przed mogiłami towarzyszów broni, którzy prawie dziećmi będąc złożyli swe młode życie na ołtarzu ojczyzny. Poważne, skupione twarze defilujących i ten miarowy tupot nóg! Niech słyszą, niech usłyszą!



Tu spoczęły kości poległych, którzy ofiarą życia swego okupili wolność Rzeczypospolitej.

W 7-ą rocznicę oswobodzenia Wilna

Litewski karzeł złośliwie wykrzywia się ku Polsce



Defilada, która się odbyła przed oswobodzicielem Wilna, gen. Żeligowskim, wzbudziła głęboki entuzjazm i zachwyt ludności, prowokowanej przez Litwę.

W siódmą rocznicę wyzwolenia z pod jarzma dziczy wschodniej prastare Wilno, stolica kresowa Rzeczypospolitej, stało się jednocześnie terenem żywiołowej manifestacji przeciwko wybrykom litewskiego karła, który począł złośliwie wykrzywiać twarz ku Polsce.

Na Litwie rozpoczęła się krucjata przeciwko Polakom, przeciwko językowi polskiemu i przeciwko szkołom polskim wbrew obowiązującym i przyjętym przez państwo zasadom tolerancji w stosunku do mniejszości narodowych.

Krucjata rozpoczęta stała się tem niezrozumialszą, że w Polsce mniejszość litewska korzysta z pełni praw i dobrodziejstw liberalnych rządów Rzeczypospolitej. Zmusiło to państwo polskie do odpowiedzi pięknem za nadobne: niektóre szkoły litewskie pozamykano, a zamieszkujących w Polsce obywateli litewskich, podejrzanych zdawna o wrogą przeciw Polsce agitację, aresztowano, zdobywając przy tej okazji bogaty materjał, jak pod osłoną dachu polskiego nad głową knowano przeciwko nam, za czyje pieniądze i jakiemi drogami.

Karzeł litewski, nadęty cudzem powietrzem, jak bańka mydlana, ośmieszył się i nastroił przeciwko sobie wszystkie praworzędne państwa Europy. Może pęknąć i tragicznie zakończyć nierozsądną aferę, w którą został popchnięty. Języka polskiego nie zniszczy, szkół polskich nie unicestwi, Polski o kaszlnięcie nawet nie przyprawi

Śmieszny, ogłupiany przez własnych wrogów naród...

Kraik, który całą kulturę zawdzięcza Polakom i Polsce, bez przeszłości i tragedji, bez sztuki i literatury, bez języka nawet, gdyż większość dostojników i wielkorządców litewskich języka „ojczystego" nie posiada, rekrutując się często — powiedzmy grzecznie — z przypadkowych żywiołów, nic wspólnego z Litwą niemających — kraik ten, miast oprzeć się o jedyny i współczujący mu naród polski, z którym w braterstwie był złączony przez wieki, wyczynia dzikie hocki, budząc przeciwko sobie wrogi nastrój świata.

Wszystkie państwa zachodnio-europejskie nie przestają czynić wysiłków, by widmo wszelkiej wojny jaknajbardziej oddalić i zażegnać. W tym kierunku robione są różne ustępstwa i wzajemne kroki, stwarzane są najrozmaitsze organizacje, stowarzyszenia, ligi i instytucje, mające na celu zachowanie równowagi i spokoju, stąd też takie czy inne „wyczyny" w rodzaju litewskich na popularność i pobłażanie liczyć nie mogą.

Jednak sprężyny zbyt naciągać nie można, bo pęknie i uderzy.

Kto rozpala dziś pożar, którego tak nie chce świat cały, sam w nim przedewszystkiem spalić się może.

Litwa współczesna staje się ćmą oślep pędzącą do ognia.



Tłum, wysypujący z wiecu protestacyjnego przeciwko prowokacjom litewskim, przez swoich delegatów zwrócił się z uchwałami do bawiącego w Wilnie premjera Marszałka Piłsudskiego.



„Król Agis“

Dramat w 3-ch aktach Juljusza Słowackiego

„Króla Agisa“ pisał Słowacki w r. 1844, t. j. w epoce najpełniejszego rozkwitu swej mistyki. Podstawą jej była wiara, iż wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje“. Obok pełnych świętości bohaterów, jak „Zawisza Czarny“, „Książę Niezłomny“ i „Ksiądz Marek“, zajawia się w twórczości Słowackiego reformator społeczny, działacz rewolucyjny, który chce przekształcić duszę swego narodu. Za punkt wyjścia w budowie dramatu posłużyły poecie życiorysy Agisa i Leomenesa, pomieszczone w „Żywotach“ Plutarcha. Wątek dramatyczny rozwinął Słowacki dość wiernie według opowieści Plutarcha. Mistykę zaś swą wyłożył w słowach chóru, który w utworze tym nabiera specjalnej wagi, wysuwa się na plan pierwszy i stanowi istotę twórczą dramatu. Dzieje rewolucji Agisowej w Sparcie zamknął Słowacki w szeregu wizyjnych obrazów, chórowi zaś kazał tłomaczyć wydarzenie starożytnej Grecji według własnej mistyki nawskroś chrześcijańskiej. W żywocie Agisa chór szuka podobieństwa z żywotem Chrystusa, a dramat zamienia się zwolna w majestatyczne misterjum.

W trzecim wieku przed Chrystusem Agis IV, młody król spartański, zapragnął przywrócić swej ojczyźnie dawną sławę i potęgę, której podwaliny dało prawodawstwo Likurga. Od czasu, gdy Sparta pokonała Ateny i zdobyła wielkie bogactwa, obyczaje kraju rozluźniły się ogromnie. Zaprowadzony przez Likurga podział gruntów na równe części ustawać począł, i wkrótce Sparta obok gromadki bogaczów posiadała samych nędzarzy. Rodowitych Spartanów liczono zaledwie 700, a z tych zaledwie 100 posiadało własność ziemską. Niezadowolenie nędzarzy rosło z każdym dniem, i maleńkie państwo spartańskie znalazło się nad brzegiem przepaści.

Młodziutki król Agis wystąpił na widownię, jako odważny reformator obyczajów, praw i ustrojów społecznych. Sam wrócił do dawnej prostoty życia spartańskiego i oświadczył gotowość ofiarowania swego znacznego majątku na potrzeby ojczyzny. W Sparcie od niepamiętnych czasów stało na czele państwa aż dwóch królów jednocześnie. Władzę ich ograniczali mocno eforowie t. j. najwyżsi urzędnicy, wybierani na rok. Razem z Agisem IV rządził w kraju bogaty król Leonidas II, zarażony zbytkiem Wschodu i wrogo usposobiony do reformatorskich poczynań swego kolegi. Agis, zyskawszy pomoc swego wuja, Agezylausza, oraz Lizandra, „męża wielkiej powagi“, przystąpił do dzieła reformy. Przeprowadziwszy wybór Lizandra na efora, zapowiedział powszechne uwolnienie obywateli od długów oraz podział ziemi na 4500 równych części. Publicznie oświadczył, iż ofiarowuje na ten cel własne mienie, a to samo oświadczenie ponowił w imieniu swej babki i matki, która zrazu opierała się jego planom, ale później stała się gorącą rzeczniczką zamierzonej reformy.

Najmocniej sprzeciwiał się planom Agisa drugi król, Leonidas, popierany przez bogaczów. Aby działanie Leonidasa zniweczyć, efor Lizander oskarżył go o to, że wbrew prawu pojął za żonę cudzoziemkę, co groziło karą śmierci (tego szczegółu Słowacki w dramacie swym nie uwzględnił). Leonidas ocalił życie ucieczką, a tron zajął jego zięć Kleombrotus.

Tymczasem najgorszym opiekunem reformy okazał się właśnie wuj Agisa Agezylausz. Miał on nieprzeliczoną ilość długów, obstawał więc przy prawie zniesienia wierzytelności, ale przyzwyczajony do rozwięzłego życia nie chciał się pozbyć własnych dostatków. Agis poszedł z wojskiem do Achajczyków, których wódz A r a t u s zażądał od Sparty pomocy w wojnie z Etolczykami. Podczas nieobecności Agisa Agezylausz, wybrany na efora, nie tylko majątek swój zatrzymał, ale go powiększył nieznanym dotąd w Sparcie zdzierstwem. Wzburzony lud przywrócił z wygnania Leonidasa i osadził go powtórnie na tronie. Aratus zawarł pokój z Achajczykami, Agis zaś wrócił bez bitwy do Sparty. Zastał tu położenie położenie całkiem zmienione.

Leonidas darował życie zięciowi swemu, królowi Kleombrotusowi, ulegając błaganiom córki swej, Chelonidy, która z mężem poszła na wygnanie. Ale stał się Leonidas niezbłagany dla Agisa, który się schronił do świątyni Neptuna. Gdy raz Agis wyszedł ze świątyni do łaźni, każe go Leonidas porwać gwałtem i postawić przed sąd eforów. Skazany na śmierć zginął Agis w r. 240 przed Chrystusem, uduszony w więzieniu. Razem z nim uduszono jego babkę i matkę. Po śmierci Leonidasa tron Sparty objął jego syn Kleomenes, który naśladował Agisa i pragnął wykonać to, co tamten przedsięwziął.

W pięknej formie spłacił Teatr Narodowy dług, jaki był winien wieszczowi, wystawiając „Króla Agisa“. Pierwszą i największą zasługą w tem ma dyr. Lorentowicz, który opracował inscenizację dramatu, przystosowując go do ram teatralnych wymagań i dając mu taką oprawę, jakiej już dawno nie oglądaliśmy w naszych teatrach.

Wyreżyserował sztukę dyr. Chaberski z wielkiem znawstwem kunsztu operowania zarówno pojedyńczemi figurami, jak i tłumami, nadając iż żywy gest i ruch, utrzymany w stylu wielkiego widowiska.

Rolę króla Agisa kreował Węgrzyn, niestety, zdaje się, bez przekonania, gdyż chwilami jego potężny głos huczał zbyt automatycznie i zimno, aby mógł porwać lub przekonać. To samo można powiedzieć o Justjanie, który grał Leonidasa. Natomiast Broniszówna i Rotter-Jarnińska (babka i matka Agisa) oraz Lindorfówna (Chelonida) dały dużo życia i ciepła swoim postaciom. Zwłaszcza ostatnia, posiadając niezwykle miło brzmiący organ mowy, była wzruszająca. Doskonały był mistrz Zelwerowicz w nader niewdzięcznej roli Agezylausza.

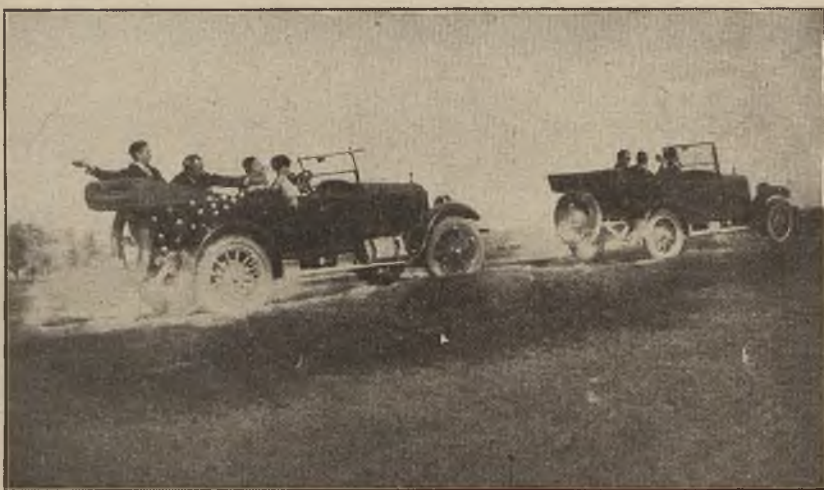
Pierwszorzędne były chóry zarówno żeński, jak i męski, tym razem zdyscyplinowany, jak nigdy dotychczas. Kostjumy i dekoracje imponujące.

M. S.





„Rally-paper“ Automobilklubu



Z „Rally-paper“: Znaczenie drogi papierkami, pozostawiającemi ślad, po którym „kluczą“ inne auta.

„Rally-paper“ na samochodach to nietylko niesłychanie wesoła zabawa sportowa, w której zawodnicy mają możność popisania się swemi zdolnościami, ale jednocześnie sposobność do wykazania sprawności wozów, albowiem konkurs ten rozgrywa się na najcięższych nawet drogach.

Podobnie jak w sporcie konno-myśliwskim, zabawa ta polega na gonitwie za tak zwanym „masterem“, który, wyjeżdżając zawczasu, przemyślnie kluczy, myląc za sobą ślady, oznaczone porozrzucanymi za sobą papierkami — a że zjeżdża z drogi, najrozmaitsze wyczynia wykręty i wali, nie pytając, przez największe wertepy — zadanie zawodników wcale staje się skomplikowane.

Słowem popis, jakby specjalnie stworzony dla naszych warunków drogowych...

Aż dwadzieścia pięć maszyn w pięknym ordynku stanęło u startu, a z niemi trzydzieści „outsiderów“, czyli prościej — „gapio-sportsmenów“.

Kierunek — Pułtusk. Sygnał. Warkot motorów, tumany kurzawy — zabawa rozpoczęta.



Z „Rally-paper“: Pogodne oblicza jadących nie zdradzają wcale, iż za chwilę rozpocznie się zaciekłe współzawodnictwo.

Gładki, jak na zamówienie, piękny lazur nieba, drogi zato, gdyby na urągowisko wdzięcznej nazwie gospodarskich „resorówek“, które sennie po niej jeżdżą, zwożąc do stolicy ziemniaki, kapustę, „karafioły“ i inne dary boże.

Czego się jednak nie robi dla miłego sportu, zwłaszcza gdy szlachetne ambicje pobudzone są jeszcze współzawodnictwem między „sport-mężczyznami“ i „sport-kobietami“.

Więc, mimo przebiegłości mastera Tuszyńskiego, mimo przeróżnych przeszkód drogowych, utrapionych kich i kichających świec, mimo zwykłych incydentów, jak z poczciwem staropolskiem koniskiem, które wespół z niemniej wzgardliwym dla sportu woźnicą (może namówieni przez Tuszyńskiego) zatarasowało drogę gniewnie fukającym „Minerwie“ i Overlandowi“ — w dwóch godzinach z minutami dopędzono przemyślnego gentlemana z papierkami i otrąbiono zwycięstwo.

Odznaczenia „wytrzęśli“ sobie: panie — Gebethnerowa na „Tatrze“, Marjańska na „Buicku“, Marchlewska na „Fiacie“ i Delavaux na „Whipper-Overlandzie“, oraz panowie — Froelich na „Chryslerze“, Bogucki na „Steyerze“ i Koziański na „Tatrze“.

I odtąd zaczynają się tragiczne przeżycia tak pięknie rozpoczętego dnia.

Nie przewidzieli organizatorowie konkursu, że poprzedniego dnia pewien dostojnik państwowy, co uczepiony steru chyżej maszyny, z wichrem po drogach iść lubi w zawody, na złość dygnitarzom cichych prowincyj — spadł, jak meteor, właśnie do Pułtuska i zamknął knajpkę, która ze staropolską gościnnością miała przyjąć dzielnych sportsmenów.

Trudno! Wszak przed niedzielą zazwyczaj bywa sobota, a w sobotę, począwszy od 3-ej bywają tacy zatwardziali grzesznicy, którzy, na złość czyniąc prawu i logice, szukają po filiżankach nie tyle herbaty lub barszczu — ale właśnie „wódy“.

Zamilczmy więc o tem, co się działo w Pułtusku, gdy 55 maszyn w pięknym ordynku stanęło przed „szynkiem“. Podobno jednak i tu wykazano zwykły talent organizacyjny, więc zgodnie podzielono kawał jakiegoś koniska pomiędzy zgłodniałych i na butelkach zatrąbiono do odwrotu.

Epilog rozegrał się w Strudze przy tak zwanym podwieczorku i chrapliwych dźwiękach gramofonu.

Apoteozy, która zwykle ma miejsce przy stole biesiadnym w salonach klubu, niestety nie było, część maszyn bowiem, snać oblubowawszy sobie podwieczorki i wertepy, gdzieś zawieruszyła się w drodze.

Konkurs awjonetek w Warszawie

Młode nasze lotnictwo stale się wzbogaca wciąż wzrastającym zastępem cywilnych miłośników awjacji, których w równej mierze interesuje sam sport, jak i konstrukcja.

Fakt ten podkreślić należy z tem większem uznaniem, iż wszystkie już dzisiaj narody, wytężyły maximum wysiłków w kierunku ugruntowania silnych podstaw dla lotnictwa cywilnego, które w razie wojny odgrywać będzie doniosłą rolę rezerwatu zarówno w materjale ludzkim, jak i maszynach.

Słusznie też postąpiła Liga Obrony Powietrznej Państwa, iż zapragnęła zademonstrować szerokiemu ogółowi społeczeństwa poczynania konstruktorów, częściowo zgrupowanych w sekcji lotniczej przy Politechnice warszawskiej.

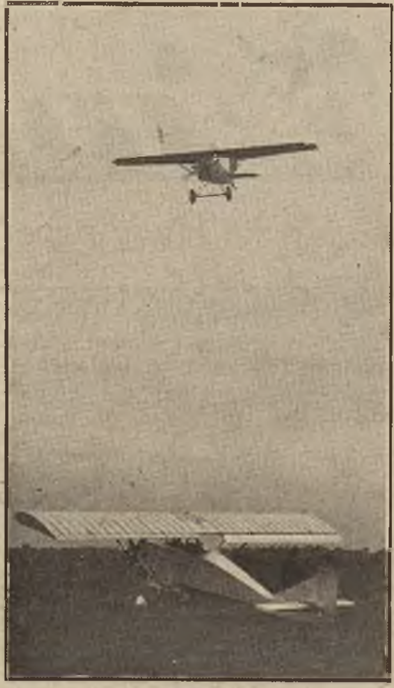
Do konkursu na trasie Warszawa — Dęblin — Warszawa, zorganizowanego przez Ligę stanęło sześć małych maszyn, z tego trzy: pil. Skraby, stud. Drzewieckiego oraz Wigury po świeżym remoncie, który trwał całą noc.

W locie tym najlepszy czas (1 godz 32 min.) osiągnął mjr.-pil. Makowski na samolociku Białej Podlaskiej konstrukcji inż. Cywińskiego i z nim, jako pasażerem. W pięć minut potem wylądował por.-pil. Kalina na maszynie stud. Drzewieckiego. Cywilny pilot Czyżewski zużył na lot ten 2 g. 5 m. na dolnopłacie Kozłowskiego z Kalisza. Następne trzy maszyny, biorące udział w locie okrężnym doznały wszystkie przykrego „pecha“ z powodu wadliwego funkcjonowania silnika. Najdotkliwiej odbiło się to na samolociku studenta Wigury, którego pilot Rogalski zmuszony był do lądowania na terenie nieodpowiednim, przyczem maszyna uległa rozbiciu. Maszyna ta, która ma, podobno, wybitne zalety aerodynamiczne, stanowczo nie miała szczęścia w teraźniejszych zawodach, gdyż przed paroma dniami podczas próbnego lotu robionego przez pilota Worleedge'a oderwał się jej statecznik z częścią steru, a w pierwszym dniu konkursu — uszkodzone zostało podwozie.

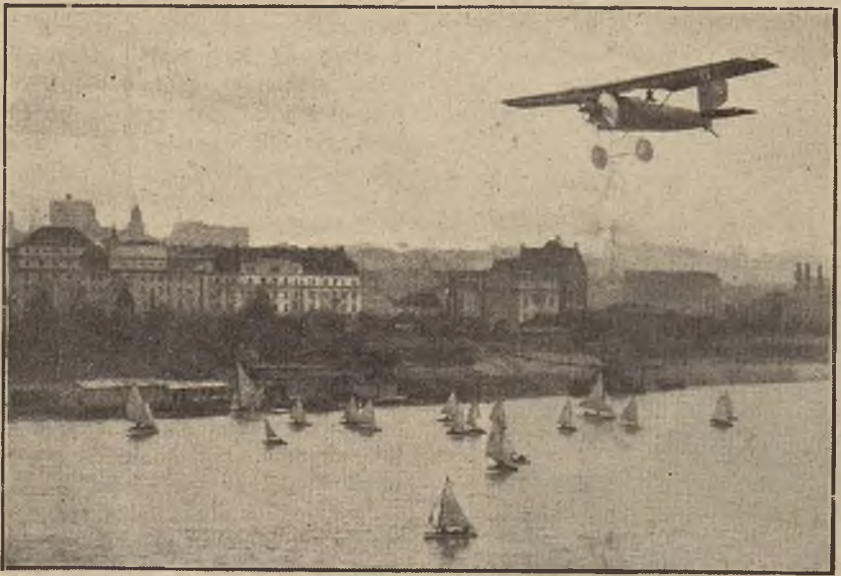
Sierż.-pil. Działowski, uległ również przykrej „panne de moteur“ w drodze do Dęblina za Górą Kalwarją. Przyprowadzenie do porządku magneta w silniku kosztowało pil. Działowskiego około 2 godz. czasu, tak, że chociaż zużył on na lot do Dęblina 58 min., a z powrotem zaledwie 53 min., cała podróż wyniosła jednak około 4 godzin.

Zupełnie to samo przytrafiło się pilotowi Skrabie, który również stracił przeszło dwie godziny na międzylądowanie.

Przy próbie demontażu (płatowcom rozmontowywano płaty, przeprowadzano kadłub przez bramę, montowano płaty poczem samolot musiał zrobić okrążenie nad lotniskiem) najlepszy czas osiągnęła maszyna sierż.-pil. Działowskiego, (16 minut 12 sekund) potem St. Drzewieckiego (21 min.), a następnie płatowiec St. Kozłowskiego (37 min.). „Biała Podlaska“ zużyła znacznie więcej czasu na demontaż, a pilot Skraba dobrowolnie zrezygnował z tej części konkursu, gdyż maszyna jego jest jeszcze w fazie prób i p. Skraba wziął udział w zawodach głównie dla gruntownego poznania jej wydajności.



Konkurs awjonetek w Warszawie zgromadził na polu Mokotowskiem liczne rzesze publiczności, które podziwiały zdolności konstruktorów i sprawność maszyn.



Konkurs awjonetek w Warszawie zbiegł się z ostatniemi w bieżącym sezonie regatami wioślarsko-żeglarskiemi.

Na tem zakończyły się zawody.

W ogólnym ich wyniku wyróżniono awjonetkę Drzewieckiego, pilotowaną przez por.-pil. Kalinę, gdyż wykazała ona bezwzględnie świetne rezultaty.

Poza znanemi już maszynami biorącemi udział w zawodach, przyleciał do Warszawy z Milanówka kpt.-pil. Babiński na samolociku konstrukcji inż. Zalewskiego. Lot kpt.-pil. Babińskiego zasługuje specjalnie na wyróżnienie, gdyż był to lot iście brawurowy, na maszynie jeszcze nie oblatanej i nie próbowanej.

ZIMA NIE ODSTRASZA LOTNIKÓW

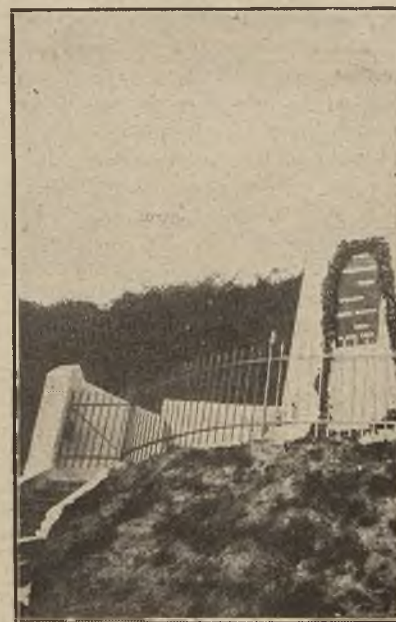
Pomimo spóźnionej pory i zbliżającego się okresu deszczów i chłodów, lotnicy francuscy Costes i Le Brix lecieć będą na Bregecie XIX 550 CV w kierunku Ameryki południowej. Zatrzymają się w St. Louis w Senegalu w odległości 4.300 klm. od Paryża. Po jednodniowym popasie lotnicy zamierzają rozpocząć lot przez Atlantyk bez zatrzymywania się. W ten sposób, przebyli by oni przestrzeń 3.500 klm nad oceanem. Celem drugiej ekspedycji lotników Arrachart i kapitana Rignot jest pobicie światowego rekordu lotu na przełaj.

Zjazd Błękitnych w Toruniu

Uroczystości Związku Hallerczyków



Z uroczystości Związku Hallerczyków w Toruniu, którym patronował twórca armji „błękitnej“ gen. Józef Haller: Defilada Hallerczyków przed b. wodzem. u podnóża pomnika Kopernika. Tłumnie zgromadzona publiczność zgotowała serdeczną owację przedstawicielom „błękitnej armji“.



Pomnik ku czci gen. Józefa Hallera w Toruniu.

Armja „błękitna“ obchodziła dnia 9 października swoją uroczystość w Toruniu.

Był nią zjazd Hallerczyków, na który przybył twórca i b. wódz armji „błękitnej“, gen. Józef Haller, oraz przedstawiciele armji francuskiej. Nasze czynniki oficjalne, zajęte mnóstwem uroczystości innych, nie dopisały tym razem, budząc zrozumiałe rozżalenie wśród zebranych na zjeździe Hallerczyków, którzy uważali nawet, iż są traktowani, jak pasierbowie.

Niesłusznie!

Naród jednako czci i szanuje żołnierza, niezależnie od formacji przedwojennych, z których pochodzi.

Uprawianie licytacji zasług i ofiar wobec Ojczyzny, które już tyle wyrządziło krzywdy sprawom ogólnym, nie jest cechą polską.

Polska to nie kram ani lombard, w którym pod zastaw najcenniejszych klejnotów ducha, można otrzymać tę czy inną pożywkę materjalną.

Armja „błękitna“ ma również swoją piękną kartę w historji Polski. Nic jej nie zaćmi i nikt jej nie wydrze.

a. b.

Otwarcie mostu Ks. Poniatowskiego w Warszawie

Zrujnowany przez moskali w pierwszych latach wojny światowej, długo czekał na odrestaurowanie i odbudowę.

Nie tak to było łatwo.

Potrzeba było 5 miljonów złotych.

A do tego rozpoczął się spór pomiędzy władzami rządowemi i władzami municypalnemi, kto winien most odbudować.

Spór zakończono krakowskim targiem. Państwo dało połowę i miasto również.

Piękny most imienia ks. Józefa Poniatowskiego, będący prawdziwą chlubą stolicy, oddano do użytku publicznego.



W stolicy polskiej przy udziale Prezydenta Rzeczypospolitej odbyło się uroczyste otwarcie mostu imienia ks. Józefa Poniatowskiego.



„Bestja morska“

Minęły te czasy, gdy bezmiar przestrzeni, tonący w mdłych blaskach księżyca budził w nas żałosne westchnienia. Minęły i te, gdy w poszukiwaniu prawdy życia tonęliśmy choćby w najbardziej grząskiem błocie, z sadystyczną rozkoszą zalepiając sobie oczy, stworzone przecież do patrzenia w słoneczną przestrzeń. I tak również bywało, że nurzaliśmy się w ckliwej atmosferze



Z filmu „Bestja morska“: Znakomity tragik Barrymore w roli kapitana Jima.

egzotyzmu i wyuzdania, miast oddychać wolnem powietrzem. Potężny wstrząs obudził nas z rozkładowego uśpienia i majaczeń czczego doktrynerstwa, a gdy bezlitosna śmierć zajrzała nam w oczy, siejąc u stóp naszych niezliczone rzędy mogił, poczuliśmy w sobie życie—zmartwychwstaliśmy i na miejscu dawnych fetyszów postawiliśmy ideał życiodajnej siły.

Tem się tłomaczy adoracja dla potęgi ducha dyktatora Mussoliniego, który na podstawach odwiecznej kultury siłą kułaka wszczepił w miljonowe tłumy bezgraniczną wiarę w przyszłość, gdy jednym rozmachem zdarł kurtynę przysłaniającą piękny obraz życia.

Tem się tłomaczy, iż Conrad i Jack London przewyższyli poczytnością swych dzieł wszystkich autorów świata, stworzyli bowiem bohaterski epos, w którym zmagania z żywiołami i otwarte dla zdobywców przestrzenie, wyparły z nas resztki ckliwości romantyzmu.

Właśnie dlatego, gdy wśród sensacyjnej produkcji filmowej, przepełnionej tematami z tanich romansideł, pojawia się film o tak potężnym rozmachu, jak „Bestja Morska“, należy go powitać, jako utwór, najlepiej odpowiadający ukształtowaniu się współczesnej umysłowości, jako najzdrowszy materjał dydaktyczny dla szerokich mas.

Zgóry obawiamy się jednak, iż szumne cytaty „super-hyper“ reklamy, z rozkoszą będą głosić, iż przy wstrząsających grozą obrazach, widownia zaniesie się od histerycznych spazmów i ludzie mdleć będą na widok „otchłani cierpień“ bohatera.

Obawiamy się, że „hyper-manja“ naszych znawców ekranowych zniekształci cudny obraz do rozmiarów taniej sensacji.

Gdy widzowie ujrzą groźne fragmenty, jak operację przypiekania żelazem oderwanej nogi nieustraszonego Jima,



Z filmu „Bestja morska“: Walka o życie



Z filmu „Bestja morska“: Na pokładzie szkunera.

niechaj całą duszą wnikną w przeżycia bohatera, który przecież potrafił poskromić moc nadludzkiego bólu, albowiem Jim jest uosobieniem siły która wszystko może skruszyć, choćby największe przeszkody.

Taką była bowiem myśl przewodnia twórców tego pięknego filmu, a zwłaszcza, gdy główną w nim rolę przeznaczyli potężnemu tragikowi, Johnowi Barrymore, który, jak głosi opinja publiczna, sam siebie przerósł w tej kreacji.

„Bestja Morska", która wkrótce ukaże się na ekranie „Colosseum" jest niewątpliwie jednym z najpiękniejszych obrazów bieżącego sezonu.

„Świat w płomieniach"

Oddawna zapowiadany w Polsce film batalistyczny p. t. „Świat w płomieniach" ukazał się w tych dniach na ekranach 2-ch kinoteatrów stolicy „Colosseum" i „Filharmonji", budząc powszechny zachwyt, który mu rokuje długotrwałe powodzenie.

Istotnie, obraz ten, osnuty na tle wypadków wojny światowej, jest jednym z najpiękniejszych filmów batalistycznych, jakie oglądaliśmy w ciągu ostatnich lat.

Dantejskie piekło wojny zmienia u ludzi, którzy w niej biorą udział stopień jedynie wrażliwości na zwykłe przejawy życia. Te same namiętności, te same interesy codzienne i ambicje, dochodzące atoli do ostatecznych granic napięcia nerwów, sprawia, iż najbłahsza, naprzykład, idylla nabiera cech głębokiego romansu, brutalne wchłanianie wrażeń nadaje życiu zawrotne, gdyby taśma z kulomiotu, tempo, garść najprostszych zdań brzmi dźwiękiem fanfary, sama jeno wartość życia i śmierci zatraca wszelkie znaczenie.

Fabuła „Świata w płomieniach" jest niezmiernie prosta.

Oto dwaj żołnierze wojsk kolonjalnych, prymitywne natury, dla których jedynym celem poza służbą jest rozkosz użycia, ustawicznie stykają się ze sobą, choć los bez przerwy pędzi ich z kraju do kraju. Im prymitywniejsza jest natura ludzka, tem rywalizacja, a zwłaszcza, gdy mowa o użyciu, staje się męcącą. To też nieraz już dochodziło pomiędzy nimi do ostrych konfliktów. Znów się spotykają dwaj nasi rywale na terenie walk podczas wojny światowej, ale tym razem błaha miłostka, jakich tyle jest za frontem, staje się dla nich powodem głębokiej tragedji i wywołuje walkę na śmierć i życie. Zew do boju przerywa tę walkę, przypominając o nowem, nieznanem dotychczas uczuciu braterstwa broni. Odrzucają więc na bok kość niezgody i spleceni uściskiem znikają w kurzawie śpieszących do boju zastępów, dążąc za głosem obowiązku, który jedynie może w tej chwili dysponować ich życiem.

A kobieta? Dziewczyna z oberży za frontem, co stała się przyczyną tego konfliktu, którą nietylko kokieterja niewieścia wtrącała w objęcia twardych żołnierzy, ale i zawiły kompleks uczuć, wyrosłych na tle wojny — kultu dla siły, miłości dla obrońców ojczyzny, litość i dla tych żołnierzy, skazanych na śmierć — kobieta ta, choć odeszli od niej rywale i załamuje ręce, niedługo trwać będzie w rozpaczy, żołnierze bowiem podczas wojny podobni są do siebie, jedni poszli, przyjdą drudzy, a z nimi znów zawita nowa miłość. I to jest też pewnego rodzaju obowiązkiem.

Oto i wszystko.

Obok tej niezrównanej trójki bohaterów, których doskonale odtwarzają Mac Laglen, Lowe i Dolores del Rio, przewija się kunsztownie wycyzelowana galerja różnorodnych typów, tragicznych i komicznych, w jakie obfituje wielka rodzina wojskowa, a wszystkich tak równych w obliczu śmierci.

„Świat w płomieniach" przynosi niezmierną chlubę jego twórcy Walshowi, znanemu z realizacji „Złodzieja z Bagdadu".



Utalentowana artystka filmowa Dolores del Rio znakomicie odtwarza główną rolę kobiecą w filmie „Świat w płomieniach". Cudna prostota gry artystki, stwarza niezmiernie wdzięczną i plastyczną postać niewiasty, na tle groźnych przeżyć wojennych, której urokowi nie mogą się oprzeć znękane serca brutalnych żołnierzy.





To, tamto i owo



Wszystkie prawie panie, którym w ubiegłym sezonie letnim udało się odwiedzić zagranicę, przywiozły ze sobą bardzo noszone tam tak zwane „trench—coat“ (płaszcz z okopów) z jasno piaskowej gabardiny. Ponieważ moda u nas zawsze się nieco spóźnia, podobne płaszcze ujrzymy zapewne na wiosnę.

Przy sportowych strojach noszone były buciki „oxford“ z kawowej lub jasno-szarej krokodylowej skórki.

Lis jest futrem, które w tym roku będzie przeważało przy popołudniowych i wieczorowych strojach.

Zauważa się noszenie pasów z jednej lub kilku szerokich tasiem „faille“, bądź różowej mory, suto związanych na boku; pasy takie bardzo efektownie wyglądają na szyfonowych lub tiulowych sukienkach.

Na popołudnie — bluzki lub swetry z lamy w drobne desenie; pasek z ozdobnem zapięciem wdzięcznie dopełnia całość.

Jako dekoracja na szyi, na rękach, przy ubraniu — biżuterja z kolorowych kamieni w barwach, harmonizujących z tonem stroju.

Włosy nosi się trochę dłużej; czoło, często zakryte, ucho przysłonięte skośnie przyczesanym puklem.





Rozpowszechniajcie „Ilustrowany Tygodnik Polski“

Rozrywki

Dodatek tygodniowy „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“, poświęcony rozrywkom umysłowym, z nagrodami dla Prenumeratorów

REBUS



KWADRAT MAGICZNY

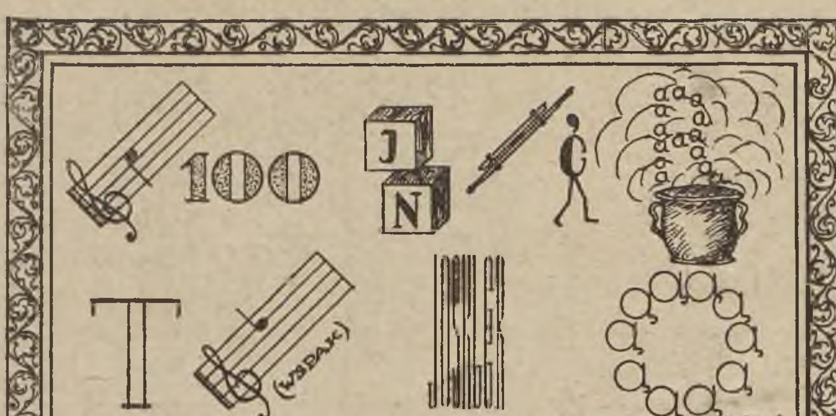
ułożył S. K.

Figurę, podaną obok ułożyć według znaczenia podanych niżej wyrazów w ten sposób, by otrzymać nazwiska wybitnych dwóch polskich kompozytorów muzycznych.



ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) Głoska, 2) ruch ptaka, 3) sfera ludzka, 4) finansista, 5) ..., 6) towary łokciowe, 7) rzeka, 8) przybory spo rtowe, 9) głoska.



SZARADA.

(Ułożył W. Przybylski)

— Wyobraź sobie, jak nadzwyczajnie spędziliśmy czas na trzecim piątym: *Cudowne powietrze, lazurowe morze, corsa, zabawy, wszelkie sporty, a nawet polowanie na* trzeciego czwartego, *które tak mi przypomniało inne czasy...*

—Nie mów więcej! A nas tu tak krępują, ciągłemi utrudnieniami. Chciałoby się zerwać te trzecie piąte *poprostu zakazów, któremi nas zmuszają do niewygód i drożyzny jakichś tam Kaczych Dołów i Wawrów...*

— Tak mój drogi, wierzyć się nie chce, że jedna ziemia, a taka różna, jedno słońce — a tam tak drugie trzecie, *podczas gdy u nas wiecznie nadąsane kryje się za chmurami. Nie wszyscy są jednak tak nieszczęśliwi, jak ty. W* czwartej trzeciej *gry spotykałem wielu rodaków...*

— Trzeba chyba, żeby kraj nasz był zawsze wszystek, *— wtrącił starszy jegomość, przysłuchujący się rozmowie młodych. — Pomyśleć tylko, żeby nie starczyło wam ducha obywatelskiego, że jeszcze nie rozumiecie, iż kraj swój rujnujecie, wywożąc pieniądze na jakieś tam* trzecie piąte. *Tylko zakazy odpowiednie mogą oddziałać na takich obywateli kraju.*

ROZWIĄZANIE REBUSA

z N-ru 34

„Rękoczyny wykluczone“

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI

z N-ru 34

Znaczenie wyrazów: 1) Mendog, 2) Ambigu, 3) Rumor, 4) Jubilat, 5) Ananas, 6) Rataj, 7) Opale, 8) Daszkiewicz, 9) Zegar, 10) Ilfeld, 11) Endymion, 12) Wacława, 13) Iliński, 14) Cebula, 15) Zan, 16) Ów — według zadań łamigłówki tworzą: Marja Rodziewiczówna i Andrzej Strug.

NAGRODY

Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie otrzymali: 1) Janina Małachowska, 2) Tomasz Majkowski, 3) Leon Makowski, 4) Irena Szymańska, 5) Juljusz Marcinkiewicz.

Kartki z humoru



— Jak ci się podoba ta suknie?
— Suknia? Gdzie, jaką suknia?



— Kiedyż pan wygramoli się z pod tego wozu? Nie widzi pan, że cały ruch wstrzymany...



— Słyszałem, że miałeś pożar w fabryce?
— Jaki pożar? Nie, to na przyszły tydzień...

UPROSZCZONA ARYTMETYKA

— Powiedz mi, Majzner, ile to będzie: kupiłem 3 m. materjału, za który płaciłem po 50 złotych, 2 m. podszewki, po 15 złotych, 30 guzików, po 20 zł. za gros, 20 — po 10 złotych za gros, krawcowi dałem 100 złotych za robotę...

— Przepraszam pana profesora, czy nie lepiej kupić gotowe ubranie?



— Panie Magenduft, a możebyś zamknął drzwi. Strasznie zimno na dworze.
— A jeżeli zamknę, to się ma ocieplić?



— Młodzieńcze, młodzieńcze, a czemuż mu taki mały robisz otwór w brzuchu?
— Panie profesorze, bo ja szyć nie umiem.

Odgłosy ekonomiczne

Dodatek tygodniowy „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego", poświęcony zobrazowaniu spraw gospodarczych, finansowych i ekonomicznych w Polsce

Loterja a grający...

Aby wygrać, trzeba być upartym

Loterja Państwowa Polska, jeżeli chodzi o prawne podstawy jej powstania, istnienia, organizację, dochodowość oraz zasady i system jej przeprowadzania w porównaniu z loterjami tego typu zagranicą, była już wielokrotnie omówiona i wyjaśniona.

Sprawy te więc nie wymagają nowych uwag i rozważań.

Warto jednak poddać analizie psychologję grającego w Polsce w stosunku do psychologji graczy na loterjach zagranicznych.

U nas kupujący los czeka i to zwykle bardzo niecierpliwie na ciągnienie klasy I-ej. O ile wygrał stawkę, jest niezadowolony i zawiedziony w swych śmiałych co do wysokości wygranej wymaganiach, jednak pociesza się i odnawia los do klasy następnej. O ile jednak szczęście mu nie bardzo posłuży i w rezultacie w klasie piątej wygra znowu tylko stawkę, to często próbuje jeszcze szczęścia w loterji następnej.

Gorzej jest wszakże gdy przegra. Polak — trudno, trzeba się samym sumiennie osądzić — ma wiele zapału, ale zapał ten to słomiany ogień, prędko się zapala i prędko gaśnie. Brak nam na ogół wytrwałości, nawet w takim przedsięwzięciu, jak gra na loterji. Przegrawszy tracimy zaufanie do kolektury, do numeru losu, który nie wygrał, a nawet mamy—zresztą niesłuszną—pretensję do Dyrekcji loterji, że los dany nie wygrał głównej wygranej, a choćby już tylko większej wygranej średniej, premja zaś, jak to się zwykle w rozmowach dodaje, pozostała wspaniałomyślnie dla „wyjątkowych wybrańców fortuny". Doznawszy w ten sposób zawodu, grający kupuje wreszcie jeszcze raz los, ale już w innej kolekturze i to los z innym numerem.



Dr. Ferdynand Seeliger
generalny dyrektor Loterji Państwowej.

Inaczej rzecz ta przedstawia się, naprzykład, w Niemczech.

Tam grają na klasowej loterji państwowej prawie wszyscy. Niepowodzenie, choćby stałe, nikogo nie zraża. Przyzwyczajenie do tej gry przechodzi tam dziedzicznie z ojca na syna, i numer losu w większości wypadków nie jest zmieniany, stając się tradycją w rodzinie.

Przeprowadzone w tym kierunku badania dały podstawę do twierdzenia, że tak pojęty sposób gry daje zawsze w rezultacie pozytywne i realne wyniki, a więc korzyści istotne. Rachunek prawdopodobieństwa wykazuje, że grając stale na jeden i ten sam numer losu, musi się wreszcie wygrać.

Ten upór w grze na loterji klasowej to nie hazard. Gra, tak pojęta i zrozumiana, to gra systematyczna, zimna, wyrachowana i nie wypływająca z namiętności ludzkiej.

Pomimo jednak tej zmiennej psychologji naszych graczy ilość ich się nie zmniejsza, owszem zwiększa. Jest to rezultatem dążenia do próbowania szczęścia oraz zaufania, jakie ma nasze społeczeństwo do loterji państwowej, jako przedsiębiorstwa.

Generalna Dyrekcja Loterji Państwowej bowiem, pod której zarządem pozostaje Polska Państwowa Loterja Klasowa, przestrzega stale i pilnie co do sposobu przeprowadzania ciągnień zasady bezwzględnej jawności.

Niezależnie od udziału delegatów miasta, jako czynnika obywatelskiego, kontrolującego w Komisji ciągnień, niezależnie od tego, iż ciągnienia dokonują nieletnie dzieci-sieroty, publiczność sama również ma możność sprawdzania i kontroli przy wsypywaniu do koła zwitków z numerami oraz wygranemi.

Pod tym względem Polska Loterja Klasowa przoduje innym tego rodzaju loterjom zagranicznym.

Na czele Generalnej Dyrekcji Loterji Państwowej stoi szanowany powszechnie generalny dyrektor, dr. Ferdynand Seeliger.

Echa

Dodatek tygodniowy „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“, poświęcony Kronice ważniejszych wydarzeń w Polsce i zagranicą

Wybory, wybory, wybory...



Fragment z wyborów łódzkich do rady miejskiej: Głosowało 70 procent uprawnionych do głosowania. Skutek wyborów ten, iż niema wyraźnej większości z powodu rozbicia głosów pomiędzy poszczególne grupy i partje. Wystawiono 31 list. Jeżeli ma to być próbą sił przy mających się odbyć wyborach do Sejmu, to niewesoło...

Wystawa Centralnego Związku Kółek Rolniczych w Łowiczu



W związku z konkursami rolniczymi Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej została otwarta Wystawa rolnicza w Łowiczu, obfitująca w ciekawe eksponaty, dobitnie świadczące o wzrastającym rozwoju kultury rolnej w gospodarstwach wiejskich.

POLSKA.

— Harcerz polski Jedliński, który objeżdża świat swoim Fordem, przyjęty został przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych Coolidge'a.

— Oficerowie polskiej Wyższej Szkoły Wojennej w liczbie 30 osób z gen. Kesslerem na czele bawili kilka dni w Paryżu, zwiedzając równocześnie szereg ośrodków przemysłu wojennego we Francji.

— Proces w sprawie ulotek o gen. Zagórskim odbędzie się przed sądem lwowskim w listopadzie.

— W Poznaniu zakończył się proces członków „Strzelca“, oskarżonych o pobicie ćwiczących „Sokołów“. Z 24 oskarżonych 9 uwolniono, resztę zaś skazano na kary od 14—6 miesięcy i mniejsze.

— Minister spraw zagranicznych Zaleski odbył konferencję z ministrem Briandem w Paryżu na temat stosunków Polski i Litwy oraz zagadnień polityki międzynarodowej.

— Prasa polska w Ameryce donosi, że dwie największe organizacje nasze w Stanach Zjednoczonych: Związek Narodowy Polski i Związek Polek przygotowują się do wielkich wycieczek do Polski w roku przyszłym. Sam tylko Związek Narodowy zwerbować ma na wycieczkę około 5.000 osób.

— Stołeczne koła samorządowe czynią przygotowania do ogólnego zebrania Związku Miast Polskich, które odbędzie się 22 i 24 b. m. w Poznaniu z udziałem 500 zrzeszonych przedstawicieli.

— W najbliższym czasie pod Warszawą ma powstać wielka fabryka krochmalu ryżowego o wydajności sześciuset tonn miesięcznie. Kapitał zakładowy wynosi 3 miljony złotych. Organizuje ją twarzystwo belgijskie „Usines Remy“ w Louvain.

ZAGRANICA.

— Zatarg francusko-sowiecki, wywołany przez agitację komunistyczną ambasadora sowieckiego Rakowskiego w Paryżu, zaostrza się.

— Trocki rozwija silną akcję opozycyjną w stosunku do obecnych czerwonych dygnitarzy sowieckich, przygotowując się do bardziej ostrych wystąpień na uroczystości obchodu 10-lecia rewolucji bolszewickiej.

Rozmaitości Literackie i Naukowe

Dodatek do Nr. 36 „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego"



Jesienią...

Pierwszy chłodny dreszcz —
słońce blado świeci,
a na ziemię leci
liści złotych deszcz...

Szkoda srebrnych łez —
lato było wczora,
dziś jesienna pora,
dziś już jego kres...

Blado — złoty dzień —
znikły gdzieś bociany,
na duszę nieznany
pada smutku cień...

Kwiatom, ptakom źle —
jesień srebrne nici,
jak mogilne wici,
naokoło śle...

M. Lucasówna



Nałóg palenia ma swoich przeciwników, więcej wszakże z pewnością ma zagorzałych zwolenników, którzy niejedną błogą chwilę zawdzięczają aromatowi tytoniu.

Utrzymują, że nałóg palenia, jako taki jest tak stary jak świat, a gdy jeszcze nie znano tytoniu, wdychano, jak starożytni Rzymianie, dym z lnu lub rozmaitych ziół.

Nie mniej z pewnością wypisywano uczonych rozpraw w obronie tytoniu, jak w sprawie jego tępienia, a jednym z pierwszych dokumentów historycznych, które w tej materji znajdujemy w naszych dziejach, to list ze Stambułu posła Uchańskiego do królowej Anny (żony Stefana Batorego), przy którym poseł przesyłał do Polski nasienie tytoniu.

Kiedyindziej znów król angielski Jakób I przesłał był naszemu monarsze, Zygmuntowi III, uczoną rozprawę pod tytułem „Misokapnos", zwalczającą tytoń, po której ukazała się replika pióra uczonego ojca jezuity pod tytułem „Antimisokapnos".

A więc i kościół nie zwalczał tytoniu? Papież Urban VIII zastrzegł był wprawdzie, iżby nie zażywano tabaki przed nabożeństwem, a to celem uniknięcia nieprzystojnego wypadku kichnięcia w kościele.

Znajdujemy zresztą w jednym z kościołów w Saksonji święty obraz, przedstawiający, jak trzej królowie częstują tabaką samego św. Józefa.

Tytoń znalazł u władz tem gorliwszych obrońców, iż spostrzeżono, że monopol, który z czasem w różnych warjantach wprowadzono do skarbowości, przynosi wielce poważne zyski. Dość wspomnieć, że dochód ten w Polsce wyniósł w roku 1776 zgórą 3 miljony złotych.

Jedną z najbardziej popularnych form, pod którą używano dawniej tytoniu, była tabaka.

Tabaka — opowiada Kittowicz — była z początku prosta, z tytoniu w donicy wierconego robiona, do której dla tęgości, owi wezwyczajeni niąchacze, którzy woleli bez chleba się obejść, niż bez tabaki, przydawali popiołu z skórek łoziny albo z grochowin palonych, aby im w nosie lepiej wierciało, a potem nastała ropa".

Nowinki w tej materji musieli, rzecz prosta, przynieść ze sobą cudzoziemcy.

Pierwsze odmiany od prostej tabaki, o której wspomnieliśmy, przyniosła za Augusta III pewna Włoszka, nazwiskiem ponoć Syrakuzina, popularniej znana pod przezwiskiem „Srajkozina". Przemyślna ta baba zaczęła wyrabiać parę odmian tabaki, która cieszyła się ogromną wziętością, a dzieliła się, stosownie do grubości, na numery: 2, 4 i 8. Jeden gatunek zaprawiony był lawandą, drugi zaś bergamotą.

Wkrótce jednak — opowiada Kittowicz — zaczęto pomawiać Srajkozinę, iż „miesza do obu gatunków koperwas dla czarności i szczypania, a mocz dla lipkości i lepszego ziarnowania się", a oburzeniu nie było już granic, gdy do plotek tych dodano, iż Włoszka doprawia tabakę popiołami z kości ludzkich.

Mimo, iż na skutek interwencji sądowej ekspertyza drobiazgowa stwierdziła bezpodstawność tych słuchów, długo nie miano przekonania do przemyślnego wyrobu i zadawalniano się własnym, domowej fabrykacji, w donicy.

W ten sposób Srajkozina straciła klientelę i wyjechała do ojczyzny, a dopiero w kilka lat później miejsce jej zajął niejaki Fontana, a jeszcze później Biresta.

Coraz większym powodzeniem u amatorów cieszyć się zaczęły wyroby zagraniczne, znane jako: santomerki, holenderki, hiszpanki, albanki i marokanki, które pamiętali jeszcze nasi dziadowie.

Wszystko ma swój czas...

Trudno dziś dać wiarę, iż pierwsze cygaro, które przed stu laty zapalił jakoś „dandys" na bulwarach Paryża, wzbudziło kolosalną sensację, że papierosy weszły w użycie w Anglji dopiero w roku 1877, a ulubiona tabaka popadła w zapomnienie.

Na pocieszenie nałogowcom zakończymy to opowiadanie anegdotą o pewnym Czechu, nazwiskiem Bauer, który zażądał, by pochowano go z ulubioną fajką i kapciuszkiem. Spełniono tę wolę po jego śmierci, a poczciwa wdowa przypomniała sobie nawet w ostatniej chwili, że nieboszczyk, choć przemilczał w testamencie o zapałkach, pewnie ich będzie potrzebował, więc i te mu włożono do trumny.

Przymówki

Październik chodzi po kraju,
żenie (wypędza) ptactwo z gaju.

Na św. Łukasza
18-go października

Na święty Łukasz,
darmo w polu czego szukasz...

Na św. Urszulę
21-go października

Od świętej Urszuli,
oczekuj koszuli...

Po świętej Urszuli,
chłop kożuchem się otuli...

Urszula, Kordula
do pieca przytula...

Święta Urszula perły rozsuła,
miesiąc wiedział, nie powiedział,
słońce wstało pozbierało.

Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta podzieliły, jak wiadomo, Polaków na liczne obozy i orjentacje.

Jedną z najzacieklejszych przeciwniczek króla była kasztelanowa Kossakowska, słynąca z ostrości replik, które znajdowała bez żadnego namysłu.

Opowiadają, że na jednem z zebrań towarzyskich król, gdy niebacznie wdał się był w dyskusję z panią Kossakowską, taki od niej zasłyszał przycinek:

— Wiadomo, Najjaśniejszy Panie, żeś cudów dokonał w naszem biednem państwie: kilkanaście lat dopiero panujesz, a wszystkie kobiety po francusku mówią, a na 10 małżeństw — 7 rozwiedzionych, choć ty się trudzisz popieraniem sztuk i rękodzielnictwa, a w stolicy samej papiernię nawet myślisz zakładać...

— Jakąż to papiernię? — zapytał zdziwiony monarcha.

— Nic się nie ukryje, Najjaśniejszy Panie — odparła Kossakowska — toć nie darmo otaczasz się samymi gałganami...

Skóra cierpnie, gdy wspominamy, jakie ongiś zadawano kary i na jakie straszliwe skazywano męczarnie. Rzeczy te jednak nie robiły wówczas żadnego wrażenia, przeciwnie, usposabiały nawet do żartów.

Zdarzyło się raz, iż Sobieski, z wojskiem obozując pod Lublinem, skazał kilku przestępców na rozćwiartowanie, a trupy nieszczęsnych po wymuszeniu zeznań, powiesić i trzymać publicznie dla przykładu.

Przyszła tedy do króla delegacja mieszczan i jęła go prosić, by trupy odwieszono, gdyż ludność, nie znosząc widoku tych „ćwierci", wyrzeka się spożywania mięsa.

— I owszem — odpowie im król z uśmiechem — poty wisieć będą, póki obozuję pod miastem. Wam się nic nie stanie, że mięsa nie zjecie, a będzie ono tańsze dla wojska.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

Handlarze spojrzeń...

(Opowieść naiwna i wielce prawdziwa)

— Nie rozumiem — wzruszyła ramionami — gdzie pan Zhorski?

— Zechce pani usiąść — podsunął jej grzecznie fotel.

— Gdzie jest pan Zhorski — powtórzyła, siadając machinalnie.

— Obok, w sypialni. Ale nie przyjdzie, jest bowiem w... zresztą i tak pani nie zrozumie.

— Zdaje mi się, iż wyraża się pan niezupełnie... poprawnie — rzuciła mu wyniosłe spojrzenie, — no i zupełnie za to niezrozumiale.

— Ośmielę się wszystko pani wyłuszczyć. Przez chwilę — przed dziesięciu minutami — miałem nawet zamiar przybrać postać pana Zhorskiego — nie chciało mi się jednak męczyć — porozumiemy się i tak. Sprawa jest jasna. Chodzi o uśmiech panny Bożedarskiej.

— Bożedarskiej — szepnęła pobladłymi usty baronowa.

— Tak jest. Uśmiech i spojrzenie panny Bożedarskiej, które ukradł dla pani tak zwany profesor Mergint.

Aldona podniosła się majestatycznie.

— Pan jest pijany — albo nienormalny...

Nieznaczny ruch brwi Olwinga i omdlałe nagle nogi ugięły się pod baronową, która upadła bezsilnie na fotel.

— Pozwoli pani, że rozmowa nasza będzie nosiła charakter ściśle rzeczowy. Nie mam najmniejszego zamiaru prawić pani nauk moralnych — oboje bowiem, nie wiemy dobrze co to jest moralność, ani tem mniej „karać" pani, — kara jest jeno samogwałtem sprawiedliwości. Poprostu chcę odebrać pani to, co do niej nie należy, a oddać tej, której jest własnością. Czynię to z pobudek materjalnych, a w części ambicyjnych...

— Zapłacę panu... szepnęła baronowa.

— Niemożliwe. Nie mówmy nawet o tem. Fi Otóż za trzy kwadranse zobaczę p. Irenę Bożedarską — i po za jej wiedzą i świadomością — powrócę jej zagrabione. To ostatnie uczynię już wyłącznie z pobudek altruistycznych. Trzeba, au fond, od czasu do czasu wznosić się po nad kwestje zarobkowe. A więc — mamy niecałe czterdzieści minut czasu. Jeżeli pani będzie grzeczną, obiecuję, że cała operacja potrwa krótko i skończy się lekkiem zaczerwienieniem oczu i nieznaczną sinością warg, co, zresztą, zniknie w trzy dni. W przeciwnym razie — nie mam tu laboratorjum, no i wprawy takiej jak Mergint — skutki mogą być opłakane. Zamierzonego tak, czy inaczej, dokonam. Daję pani minutę czasu do namysłu.

Olwing, zakończywszy przemowę, wyjął z kieszeni od kamizelki malutkie złote emaljowane pudełko, nie większe od kieszonkowej damskiej puderniczki — i wyjął zeń jakiś przedmiot, który, ułożony na ziemi, wyrósł w duży fotel, osnuty siecią drucików, lusterek i połyskliwych niklowych płaszczyzn.

— Prawda, co za zdolność kondensowania i zcieśniania molekuł, — zapytał uprzejmie — wytłomaczyłbym to pani, gdyby nie brak czasu. Więc jakże. Siadamy? Bez oporu?

Baronowa z pobladłemi usty i zmarszczonymi brwiami — bez słowa podeszła ku fotelowi.

— Cenię za spokój — pochwalił Olwing — ulegać w milczeniu jest stokroć wykwintniej, niż zwyciężać krzykliwie — pojaśnił, nastawiając szkła i lusterka. — Ani Zhorski, ani p. Bożedarska nie będą zupełnie poinformowani o istocie całej historji. Pamięć zaginie doszczętnie. Co do niej, to pomyślał o tem Mergint. O Zhorskim — ja. Gwoli ambicji pani, zostanie wśród znajomych przeświadczenie, iż tydzień cały „piękny Zhorski" wił się koło pani. Może pani dawać do poznania, iż — odrzuciła jego zabiegi. Vous savez: les dessous des cartes ne sont jamais connus. Co zaś się tyczy wiadomych defektów pani — mam na myśli braki jej boskiej urody — to Mergint jest partacz — niech się pani zwróci do mnie, za parę dni — a znajdziemy środki zaradcze... Radzę zapamiętać. Odszuka mnie pani łatwo — a teraz proszę główkę oprzeć ot, tu. Tak. Dobrze...

— — — — — — — — — —

Ślub dr. L. Zhorskiego z p. Ireną Bożedarską odbył się coś w dwa tygodnie później. Wśród kilkudziesięciu depesz były od Aldony baronowej Pappenholz-Pappenberg, która na tydzień przed dniem zaślubin wyjechała na parę miesięcy do Nicei, i od Rudolfa barona Olwinga, który, jak głosiły po cichu złośliwi, zakochany w niej po uszy, odsadziwszy od niej Zhorskiego, ścigał ją teraz po świecie.

Na uczcie weselnej sensację wprost wywołała depesza, wysłana z Monte-Carlo: „Niech żyje młoda para. Serdeczne życzenia. Krawat służącego pozostał za spluwaczką. Ernest de Sansoulkiewitsch".

Młodzi małżonkowie, ani żaden z weselnych gości nie mógł sobie przypomnieć depeszującego.

KONIEC.

Powieść Wł. L. Everta „Handlarze spojrzeń" ukaże się wkrótce w odbitce książkowej, wydanej nakładem „Ilustrowanego Tygodn. Polskiego"

GUY DE MAUPASSANT

Tchórz...

W towarzystwie nazywano go ogólnie „pięknym Signoles". Nazywał się wicehrabia Gontran Józef de Signoles.

Sierota, pan średniego majątku, posiadał wiele zalet towarzyskich. Miał ładną postać i maniery, był dosyć rozmowny, aby robić wrażenie dowcipnego, posiadał pewien naturalny wdzięk, minę dumną, arystokratyczną, ładny wąsik, słodki wzrok, słowem — mógł się podobać kobietom.

Zapraszano go do towarzystw, danserki ubiegały się o niego, a na usta mężczyzn wywoływał ów nieprzyjemny uśmieszek, jaki zwykle wywołują ludzie o energicznej postawie. Posądzano go o kilka miłostek, które były zdolne wyrobić najlepsze mniemanie o młodym człowieku. Żył szczęśliwie, spokojnie, w najzupełniejszej równowadze umysłowej. Wiedziano, że dobrze się bije, a lepiej jeszcze strzela.

— Jeżelibym się bił — mawiał — wybrałbym tylko pistolety. Z pistoletem w ręce jestem pewny śmierci przeciwnika.

Pewnego wieczora, odprowadziwszy do teatru dwie młode przyjaciółki — zresztą pod eskortą mężów — zaproponował im po przedstawieniu lody u Tortoniego. Siedzieli kilka chwil, gdy zauważył, że jakiś pan przy najbliższym stole wpatrywał się uporczywie w jedną z jego sąsiadek. Miała minę zmieszaną, zaniepokojoną, opuściła wzrok. Nakoniec powiedziała do męża:

— Zobacz, jak ten człowiek się we mnie wpatruje. Nie znam go wcale, czy ty go znasz?

Mąż, który nic nie zauważył, podniósł oczy i oświadczył:

— Nie, nie znam.

Młoda kobieta, trochę uśmiechnięta, trochę zagniewana, powtórzyła:

— To bardzo krępujące; ten człowiek psuje mi humor, lody mi nie smakują.

Mąż wzruszył ramionami.

— Ba! nie zważaj na to! Gdyby się człowiek chciał zajmować wszystkimi natrętami, których napotyka, nie doszedłby końca.

Ale wicehrabia nagle wstał. Nie mógł pozwolić, aby ten nieznajomy psuł komu lody, na które on zaprosił. Przeciw niemu więc skierowaną była obelga, bo przez niego i dla niego weszło towarzystwo do kawiarni. Sprawa więc obchodziła tylko jego.

Przystąpił do nieznajomego i powiedział:

— Masz pan sposób wpatrywania się w te panie, którego nie mogę znieść. Zechciej pan zaprzestać!

Tamten odparł:

— A pan zechciej mi dać święty spokój!

Wicehrabia przez zaciśnięte zęby oświadczył:

— Proszę uważać, mój panie, bo zmusisz mnie pan do przekroczenia granicy.

Tamten odrzekł tylko jedno słowo, obelżywe słowo, które rozbrzmiało od jednego końca kawiarni do drugiego i zmusiło gości do nagłego ruchu. Kto siedział odwrócony tyłem, zwrócił się twarzą, inni podnieśli głowy; trzej piccole odwrócili się na obcasach, jak krążki; obie panny, siedzące przy kasie, podskoczyły w krzesłach i zwróciły się całym tułowiem, jak dwa automaty, posłuszne temu samemu mechanizmowi.

Nastała wielka cisza. Nagle rozległ się w powietrzu suchy głos. Wicehrabia wypoliczkował przeciwnika. Wszyscy powstali, aby ich uspokoić. Wymieniono bilety.

Powróciwszy do siebie, wicehrabia przechadzał się przez jakiś czas po pokoju wielkiemi krokami. Był zanadto wzburzony, aby myśleć: „pojedynek", lecz myśl ta nie budziła w nim jeszcze żadnych wrażeń. Zrobił, co zrobić był powinien; okazał się tem, czem powinien się był okazać. Będą o nim mówić, będą go chwalić, będą mu winszować. W głos, jak się mówi w wielkim zamieszaniu myśli, powtarzał:

— Co za brutal z tego człowieka!

Potem usiadł i zaczął rozmyślać. Musiał do rana wyszukać świadków. Kogo miał wybrać? Szukał pomiędzy najbardziej usytuowanymi i najsławniejszymi ludźmi w kołach swoich znajomych. Nareszcie postanowił prosić markiza de la Tour-Noire i pułkownika Bourdin; wielki pan i wojskowy, to się składało dobrze. Nazwiska ich będą w dziennikach. Spostrzegł, że ma wielkie pragnienie i wypił trzy szklanki wody. potem znowu począł chodzić. Czuł w sobie ogromną energję. Gdy się okaże nieugiętym, zdecydowanym na wszystko i zażąda warunków surowych, niebezpiecznych, gdy będzie się domagał poważnego pojedynku, bardzo poważnego, strasznego, przeciwnik cofnie się prawdopodobnie i przeprosi.

Wziął znowu do rąk bilet, który był odłożył, rzucił na stół i odczytał raz jeszcze, jak odczytywał przelotnie w kawiarni i w powozie przy świetle każdego płomienia gazowego, wracając do domu. „Georges Lamil, 51, rue Moncey". Nic więcej.

Wpatrywał się w te złożone litery, które wydawały mu się tajemnicze, niejasne: Georges Lamil? Kto on? Czem się trudni? Dlaczego patrzył w taki sposób na tę panią? Czy to nie oburzające, że jakiś tam nieznajomy, obcy człowiek, zjawia się, aby ci zabrać spokój, tak znagła i to jedynie dlatego, że mu się podobało utkwić natrętny wzrok w jakiejś pani? I wicehrabia ponownie powtórzył na głos:

— Co za brutal!

Następnie stanął nieruchomo w zamyśleniu i zatrzymał wzrok na bilecie. Gniew uczuł do tego kawałka papieru, gniewną nienawiść, pomieszaną z dziwnem uczuciem niezadowolenia. Tożto głupia historja! Wziął do ręki otwarty scyzoryk i wbił ostrze w sam środek nazwiska, jak gdyby kogoś przekłuwał.

A więc trzeba się bić! Szpady wybrać ,czy pistolety? Uważał się bowiem za obrażonego. Na szpady mniej się narażał; ale pistoletami mógł nastraszyć przeciwnika i zmusić do cofnięcia się. Pojedynek na szpady rzadko kończy się śmiercią, gdyż obustronna ostrożność zapaśników nakazuje trzymać się w należytem oddaleniu, aby ostrze nie wniknęło zbyt głęboko. Pistoletami narażał w istocie życie; lecz mógł także wycofać się z całej sprawy honorowo bez spotkania.

Rzekł do siebie:

— Trzeba się trzymać. Przestraszy się.

Brzmienie własnego głosu przeraziło go, oglądał się dokoła. Czuł, że był zdenerwowany. Wypił jeszcze

jedną szklankę wody, następnie zaczął się rozbierać, aby się położyć.

Skoro tylko się położył, zgasił światło i przymknął oczy.

Myślał:

Wszak mam jeszcze cały jutrzejszy dzień do namysłu, a teraz trzeba się wyspać ,aby jutro być spokojnym.

Było mu bardzo dobrze na ciepłej pościeli, ale nie mógł usnąć. Obracał się i obracał, leżał pięć minut na plecach, potem kładł się na lewy bok, to znów na prawy.

Czuł jeszcze pragnienie. Wstał, aby się napić wody. Nagle uczuł niepokój.

— Czyżbym się bał?

Czemuż serce mocniej mu uderza za każdym znanym odgłosem w pokoju? Gdy zegar miał bić, krótkie szarpnięcie podnoszącej się sprężyny, dreszczem go przejmowało; musiał odtworzyć usta na kilka chwil, tak go coś ściskało za gardło.

Zaczął rozmyślać nad możliwością:

— Miałżebym się bać?

Nie, nie, oczywiście, że się nie boi, skoro zdecydowany jest na ostateczność, skoro ma silną wolę bić się, nie drżeć. Ale czuł, że był do głębi wzburzony, więc zadał sobie pytanie:

— Czy można bać się wbrew woli?

I opanowała go wątpliwość, niepokój, obawa; jeżeli kierować nim będzie siła, potężniejsza od woli, nieubłagana, niezwyciężona, co wtedy? Tak, co będzie wtedy? Wszakże stanie na placu, skoro zechce stanąć. Ale gdyby zadrżał? Ale gdyby utracił przytomność? I pomyślał o swem położeniu, o swej reputacji, o swem nazwisku.

I czuł dziwną potrzebę wstania i przyjrzenia się sobie w lustrze. Zaświecił znowu świecę. Zobaczywszy swą twarz, odzwierciadloną w gładkiem szkle, ledwie się poznał; zdawało mu się, że nigdy jeszcze się nie widział. Oczy wydawały mu się ogromne, i był blady, tak, blady, bardzo blady.

Stał przed lustrem. Wystawił język, jak gdyby chciał skonstatować stan zdrowia, i nagle lotem błyskawicy przemknęła mu myśl:

— Pojutrze o tym czasie nie będę może już żył.

I serce znowu zaczęło mu bić z siłą szaloną.

— Pojutrze o tym czasie nie będę może już żył. Ta osoba, którą widzę naprzeciw siebie, to ja, które widzę w tem lustrze, nie będzie żyło. Jakto, wszak jestem, wszak czuję, że żyję,, a za dwadzieścia cztery godzin złożą mnie tu na łóżku, z zamkniętemi oczyma, zimnego, martwego, martwego...

Zwrócił się ku sofie i dokładnie widział siebie leżącego na wznak na tej pościeli, którą opuścił przed chwilą. Miał tę twarz bez wyrazu, jaką miewają umarli, i tę sztywność rąk, które się już nie poruszą.

Przestraszył się swego łóżka, i aby go nie widzieć, przeszedł do gabinetu do palenia. Wziął machinalnie cygaro, zapalił i począł się znów przechadzać. Było mu zimno. podszedł do dzwonka, aby zbudzić służącego; zatrzymał się jednak z ręką podniesiona.

— Ten człowiek spostrzeże, że się boję.

I nie zadzwonił, zapalił sam światło. Ręce drżały mu lekko, nerwowo, gdy dotykał się przedmiotów. W głowie mu się mąciło; niespokojne myśli gmatwały się, urywały, stawały się smutne; odurzenie opanowywało jego umysł, jak gdyby był pił.

I bezustannie zadawał sobie pytanie:

— Co zrobię? Co się ze mną stanie?

Drżał całem ciałem; dreszcze bezustanne wstrząsały nim ;powstał, zbliżył się do okna i podniósł story.

Nadchodził dzień, dzień letni. Różowe niebo oblewało różowem światłem miasto, dachy, mury. Piękna zorza, pieszczotka słońca, obejmowała cały budzący się świat. a z tem światłem radosna, nagła, żywa nadzieja napełniła serce wicehrabiego! Czyż oszalał, że się tak dał opanować trwodze, zanim jeszcze cokolwiek zostało postanowione, zanim jego świadkowie spotkali się ze świadkami Georges'a Lamil'a, zanim poprostu wiedział, czy się będzie bił?

Ubrał się i stanowczym krokiem wyszedł z domu.

W ulicy powtarzał sobie raz po raz:

— Muszę być energicznym, bardzo energicznym. Muszę dowieść, że się nie boję.

Świadkowie jego, markiz i pułkownik, oddali się na usługi, i serdecznie uścisnąwszy mu rękę, poczęli mówić o warunkach.

Pułkownik zapytał:

— Żąda pan pojedynku poważnego?

Wicehrabia odparł:

— Bardzo poważnego.

Markiz wtrącił:

— Na pistolety?

— Tak.

— A resztę pan nam pozostawiasz?

Wicehrabia odparł sucho:

— Dwadzieścia kroków, na dany znak, za podniesieniem broni. Wymiana kul aż do poważnej rany.

Odeszli. Wicehrabia wrócił do siebie, by oczekiwać ich powrotu. Wzburzenie, uciszone na chwilę, wzrastało co chwila. Czuł wzdłuż ramion, wzdłuż nóg, w piersi, rodzaj drżączki ustawicznej; nie mógł wytrzymać w miejscu, ustać, wysiedzieć. Nie czuł śliny w ustach; co chwila mlaskał głośno językiem, aby go odlepić od podniebienia.

Chciał zjeść śniadanie, ale nie był w stanie wziąć cośkolwiek do ust. Przyszła mu więc myśl napić się czego dla nabrania odwagi i kazał sobie przynieść flaszeczkę rumu, którego w krótkim czasie łyknął sześć kieliszków.

Zrobiło mu się gorąco, jak gdyby go coś paliło, opanowało go znieczulenie. Pomyślał:

— Odzyskałem równowagę. Teraz jest dobrze.

Zapadł wieczór.

Odgłos dzwonka tak go przeraził, że nie miał siły wstać, by przyjąć swych świadków.

Nie śmiał przemówić słowa, nie śmiał przywitać się, z obawy, aby nie odgadli wszystkiego po drżeniu głosu.

Pułkownik rzekł:

— Wszystko umówione na warunkach, jakich pan sobie życzyłeś. Przeciwnik pański powoływał się początkowo na prawa obrażonego, ale natychmiast zgodził się i przyjął wszystko. Obaj jego świadkowie są wojskowymi.

Wicehrabia wymówił:

— Dziękuję.

Pułkownik zapytał:

— Jak się pan czuje? Jesteś spokojny?

— Tak, zupełnie spokojny, dziękuję.

Pozostawszy znów sam ze sobą, miał wrażenie, że oszaleje. Służący zaświecił lampę, wicehrabia usiadł przy stole, aby napisać listy. Na czele kartki napisał: „oto mój testament"... Nagle zadrżał, powstał i oddalił się od stołu, czując, że nie zdo-

ła połączyć dwóch myśli, powziąć jakiegokolwiek postanowienia.

A więc, miał się bić, to się już nie da odwrócić. Lecz cóż się z nim dzieje? Chciał się bić, miał ten zamiar, postanowił sobie nieowołalnie; a mimo całego wysiłku rozsądku i całego wytężenia woli, czuje, że nie będzie miał potrzebnej siły, aby dojść aż do miejsca spotkania. Starał się przedstawić sobie pojedynek, swoje zachowanie, postępowanie przeciwnika.

Od czasu do czasu obie jego szczęki uderzały o siebie wydając suchy dźwięk. Chciał czytać i wziął do ręki kodeks pojedynkowy Châteauvillarda... Po chwili zadał sobie pytanie:

— Czy mój przeciwnik umie strzelać? Czy bywał przy popisach? Czy jest znany? Kto to może wiedzieć?

Przypomniał sobie książkę barona de Vaux o strzelających na pistolety i przejrzał ją od deski do deski: Georges Lamil nie był wymieniony. Gdyby jednak nie umiał strzelać, nie byłby przyjął niebezpiecznej broni i śmiertelnych warunków.

Otworzył kasetkę, stojącą na komodzie, i wyjął pistolet. Drżał jednak całem ciałem.

Powiedział sobie:

— To niemożliwe! W tym stanie bić się nie mogę!

Spojrzał w głąb lufy, w ten mały, czarny głęboki otwór, który sieje śmierć, pomyślał o hańbie, o uśmieszkach w salonach, o szeptach w kołach znajomych, o pogardzie kobiet, o przymówkach dzienników, o obelgach, które mu będzie mógł rzucić w twarz pierwszy z rzędu.

Jeżeli wobec przeciwnika nie zachowa należytego spokoju, będzie na zawsze, na zawsze stracony. Będzie miał skazę na honorze, będzie nosił piętno hańby, będzie wypędzony z towarzystwa! A tej zimnej krwi, tego spokoju mieć nie będzie; wiedział to, czuł to. A wszakże był odważny, skoro chciał się bić! Był odważny, skoro... Myśli, która mu strzeliła przez głowę, nie dosnuł nawet we własnym mózgu. otwierając szeroko usta, wetknął lufę głęboko, aż po krtań.

Gdy służący wbiegł, przerażony wystrzałem, zastał go martwego, leżącego na wznak. Strumień krwi obryzgał białą kartkę, leżącą na stole, i utworzył wielką czerwoną plamę pod trzema słowami:

‚Oto mój testament".

Będziemy żyli po 125 lat

Ciekawe badania d-ra Jaworskiego



Dr. Helan Jaworski, słynny badacz zoologji porównawczej.

Wydobycie na jaw ukrytych praw natury i przystosowanie tych zdobyczy wiedzy do życia praktycznego stanowią odwieczny program badań uczonych.

Sensacyjne pomiędzy innemi zagadnienie, które zdawna rozpatrywane było ze zrozumiałą dozą sceptyzmu, gdyż leżała raczej w kompetencji alchemików i innych cudotwórców— tajemnica przedłużania życia stała się obecnie przedmiotem badań poważnych sił naukowych, a pierwsze konkretne zdobycze w tej dziedzinie przyniesione zostały przez lekarzy Woronowa i Steinacha.

Doświadczenia te, aczkolwiek oparte na pozytywnych faktach i stwierdzone licznemi zaświadczeniami pacjentów, którzy poddali się operacji przeszczepienia gland, skąd czerpać mieli nowe życiodajne siły — tem nie mniej spotkały się z krytyczną opinją szerokiego ogółu.

W ostatnich dopiero miesiącach szczególnego nabrały rozgłosu rezultaty badań w tej dziedzinie słynnego uczonego, dra Helana Jaworskiego, który obrał sobie za punkt wyjścia bardziej dostępną metodę, stosowaną już zresztą z powodzeniem przez medycynę — transfuzję krwi.

Dr. Helan Jaworski, pochodzący z polskiej emigranckiej rodziny, osiadłej w swoim czasie w Szimie (Peru), oddawna zastanawiał się nad tem zagadnieniem.

Pierwsze doświadczenia dra Jaworskiego dotyczyły 24-letniej klaczy, 13-letniej kozy i 14-letniego psa.

Mimo przekonywujących dowodów na zwierzętach, dr. Jaworski nie ustawał w badaniach, stwierdził bowiem jedynie, że transfuzja krwi jest możliwa i że daje cudowne wprost rezultaty, nie umiał jednak wyprowadzić stąd ścisłej teorji. Jednocześnie dr. Jaworski rozpoczął badania kliniczne na ludziach, które uwieńczone zostały nie mniejszem powodzeniem, o czem świadczą liczne wypadki, graniczące wprost z dziedziną cudów.

Operacja ta jednak nie jest tak prostą, jakby się zdawało. Okazuje się, że krew podlega zasadniczej klasyfikacji na 4 różne odmiany. Operujący przed dokonaniem zastrzyku musi najdokładniej zbadać krew pacjenta, by uniknąć niesharmonizowania gatunków, a tem samem i katastrofalnych wyników dla organizmu operowanego.

Czy wobec tak wybitnych zdobyczy wiedzy uważać można, iż znajdujemy się na drodze do nieśmiertelności?



Operacja odmładzająca, polegająca na transfuzji krwi.

Wśród pism i książek

ZNICZ — biuletyn Narodowego Uniwersytetu Robotniczego. Nr. 1, wrzesień 1927 r. Adres Redakcji: Poznań, Aleje Marcinkowskiego 24.

Ukazał się bogaty w treść zeszyt 1-szy biuletynu Narodowego Uniwersytetu Robotniczego, w którym w odezwie do społeczeństwa czytamy:

„Dnia 2-go lutego 1927 roku powstał w Poznaniu Narodowy Uniwersytet Robotniczy, jako instytucja kulturalno-oświatowa, mająca za cel wychowanie obywatelskie szerokich rzesz robotniczych, rzemieślniczych wiejskich i miejskich w duchu narodowym i państwowym.

Obecnie instytucja ta posiada własny lokal w Poznaniu, prowadzi stałe kursy oświatowe ze wszystkich dziedzin nauki — urządza na prowincji prelekcje i odczyty, wieczornice i akademje robotnicze, szerzy kult piękna, daje do rąk robotnika dobrą książkę polską, uczy go i wychowuje na dobrego Polaka, umiejętnego pracownika i dbałego o losy państwa obywatela.

Ojczyzna, oświata i stosowanie etyki chrześcijańskiej w życiu codziennem — oto hasła Narodowego Uniwersytetu Robotniczego.

Członkami Towarzystwa Narodowego Uniwersytetu Robotniczego mogą być wszystkie osoby, stowarzyszenia, towarzystwa i instytucje uznające ideologję narodową i etykę chrześcijańską.

Wszelkie ofiary pieniężne na Narodowy Uniwersytet Robotniczy przekazywać należy: konto P. K. O. Nr. 208-664 w Poznaniu, listy zaś adresować: Towarzystwo Narodowego Uniwersytetu Robotniczego, Poznań, Aleje Marcinkowskiego 24.

Wobec zadań, przyświecających tak pięknej i doniosłej instytucji, pragnącej przez należytą oświatę obywatelską pokonać wszelkie burze i nawałnice, zagrażające państwu i narodowi polskiemu — nie wątpimy, iż każdy dobrze myślący i dbały o rozwój oświaty w Polsce obywatel będzie pamiętał o istnieniu Narodowego Uniwersytetu Robotniczego i przyczyniał się do jego rozkwitu.

Lord Bulwer: DOM UPIORÓW, przekład J. Relidzyńskiego. Warszawa, nakładem Bibljoteki Nowości.

Żyjemy pod hasłem sensacji, więc też i wstrząsające grozą, niesamowite opowiadania o upiorach i warjatach z pewnością odpowiadają smakowi literackiemu szerokich mas publiczności, zwłaszcza, iż przekładu i wyboru nowel dokonał tak utalentowany pisarz, jakim jest J. Relidzyński. Książkę czyta się jednym tchem, a że włosy ze strachu dęba stają na głowie — nikt nie ma pretensji, gdyż tytuł sam uprzedził czytelnika o upiorności tematów.

Zakład gimnastyczny B. Olszewskiego

Któż nie słyszał o zakładzie gimnastycznym Olszewskiego?

Dobrze się upamiętniły postacie ojca i syna, i dziś niejeden tata i niejedna mama, drugie już pokolenie posyłająca do Olszewskiego na gimnastykę, ze czcią i rozrzewnieniem wspomina, jak to ś. p. Marjan Olszewski w przystępie dobrego humoru oświadczył jej:

— Ależ zbudowana jest pani, jak kopuła św. Piotra w Rzymie!...

*

Odwiedzamy obecnego właściciela i kierownika jego, p. Bolesława Olszewskiego.

— Zakład istnieje od roku 1870 — oświadcza nam uprzejmie. — Swego czasu prowadził go mój ojciec, ś. p. Marjan Olszewski, od roku zaś 1901 po powrocie ze studjów zagranicznych kierownictwo przeszło w moje ręce.

— A co wchodzi w zakres wychowania fizycznego w zakładzie? — zapytujemy z kolei.

— W zakres wychowania fizycznego w zakładzie — słyszymy w odpowiedzi — wchodzi gimnastyka, którą uprawiają dzieci już od 4 i pół lat, a ćwiczą nawet starcy i staruszki 60-letnie. Szermierka, gimnastyka zdrowotna i wogóle wszystko, co z wychowaniem fizycznem się łączy, stanowi treść pracy mojego zakładu.

— A kto pomaga w niej panu?

— Od roku 1915 współtowarzyszy mi w zakładzie p. Helena z Mieczyńskich Olszewska, głównie roztaczając swą opiekę nad zastępami płci żeńskiej.

*

Popularny i cieszący się powszechną sympatją obecny właściciel i kierownik zakładu, pięknie, konkursowo i na schwał zbudowany mężczyzna, p. Bolesław Olszewski, ukończył gimnazjum w Mitawie, poczem poświęcił się swemu zawodowi, wyjeżdżając na studja fachowe zagranicę. Był w Niemczech, w Danji, w Szwecji, w Austrji i od roku 1901 uczestniczył we wszystkich kongresach i zjazdach, mających coś wspólnego z wychowaniem fizycznem.

Prowadząc zakład, pracuje jednocześnie w szkołach średnich już 20-ty rok, to też ma niezliczone szeregi swoich wychowanków. W gimnazjum np. imienia Reja w Warszawie prowadzi gimnastykę bez przerwy lat 18.



Prof. Bolesław Olszewski, zasłużony fachowiec-praktyk w dziedzinie wychowania fizycznego w Polsce.

Z chwilą odrodzenia państwa polskiego p. Bolesław Olszewski został mianowany profesorem Państwowego Instytutu Wychowania Fizycznego, gdzie wykłada metodykę i ćwiczenia praktyczne. Jest to wyższy zakład naukowy, do którego przyjmowana jest młodzież z pełną maturą.

Pan Bolesław Olszewski jest najtęższym i najwybitniejszym w Polsce fachowcem-praktykiem w dziedzinie wychowania fizycznego, mającym poza sobą chlubną kartę pracy i zasług na niwie umiłowanego przez siebie zawodu.

Z redakcyjnego biurka

Autorce wierszy „Szkoda" i innych. Tuż koło poezji, ale jeszcze nie to, co potrzeba. „Szumią — zrozumią, pieści — szeleści, jesienne — odmienne, nieznane — miotane, zaświaty — kwiaty" i t. d. zbyt szare i banalne. jako rym, na gruncie wymagań współczesnych. Gdybyż jeszcze okupywała to dynamika wewnętrzna treści, ale i tego niema. Nie skorzystamy.

Autorowi wierszy „Dziecino ma" i innych. Widać, że grot miłości głęboko utkwił w Pańskiem sercu, ale żeby inni wraz z Panem przeżywali miotające Panem uczucia, należy dać im taką formę i treść, by wstrząsały każdym. Tego niema. Pisze Pan:

Dziecino ma! — Fijołków całe morze
na drogę twoją usłałbym ci rad,
by stopy twe, młodości tchnieniem hoże,
stąpały wciąż w pachnącej wiosny ślad...

A więc: 1) usłać można drogę, a nie — na drogę, 2) stopy, młodości tchnieniem hoże — źle, gdy ze stóp dobywa się tchnienie, 3) stąpały w wiosny ślad — też sztuczne i nienaturalne.

Nie skorzystamy.

M. Lucasównie. Jeden z utworów pójdzie. Parafraza ze Słowackiego pomimo wdzięku słaba.

Fr. L., autorowi „Jesieni" Pisze Pan:

Smutno na świecie... niwy i knieje
złotemi barwy okrywa sierpień,
i blade niebo wspomnieniem wieje
dawnych marzeń i cierpień.

Czyż to poezja? Zwłaszcza to blade niebo, wspomnieniem „wiejące"... A do tego rytm i rym — pożal się, Boże! Kto bierze się za pióro i chce drukować, musi mieć poczucie kultury literackiej. Nie lepiej i z prozą. Chociażby drobny przykład z utworu „Fantazja i Rozum":

Ona: Mam gorączkę; wszystkie pulsa uderzają we mnie przyśpieszonem tętnem, serce skacze w piersi, jakby ją rozsadzić chciało; fala krwi napływa do głowy...

Te „pulsa", które uderzają przyśpieszonem „tętnem" — to horrendum. Czyż puls i tętno to, zdaniem Pańskiem, dwie rzeczy różne? Chcąc pisać prozą, również bez kultury literackiej ani rusz.

A do tego proponuje Pan wywiad ze sobą do działu „Z mojej karjery". No, no!

Jednak nie można Panu odmówić śmiałego rzutu pióra. By wygrać grę, potrzeba: 1) niewydawania pieniędzy na „arcydzieła", drukowane własnym nakładem bez poczucia kultury druku, 2) więcej skromności i pewności siebie co do „karjery", 3) zdobycia prostoty

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: Eugenjusz Rafalski.

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

i bezpośredniości stylu bez silenia się na puszystość, przypominającą ogon pawi.

Jeżeli się Pan zastosuje do naszych rad, nie wątpimy, że i na wywiad „Z mojej karjery“ czas przyjdzie. Będziemy radzi.

Rękopisów nie zwracamy.

Autorce humoresek: „Jak to było w raju“ i innych. Żeby się tak bardzo można było ubawić i uśmiać z humoresek nadesłanych, nie można tego powiedzieć, chyba że ktoś lubi się śmiać na kredyt. Nie nadają się. Rękopisów nie zwracamy, o czem wyraźnie mowa w nagłówku każdego numeru pisma. Pisarzy, poetów, nowelistów, humorystów, publicystów, feljetonistów, dziennikarzy i t. d. — w Polsce taka obfitość, że, gdyby każda redakcja chciała przechowywać nadsyłane sterty papieru, musiałaby posiadać specjalny gmach na archiwum.

Jadzi Sentk. Rozpoczęliśmy już regularną wysyłkę naszego pisma pod adresem Pani, jak to nam polecił jej przyjaciel „Rabuś“.

Stanisławowi. Zdumiewająca szczerość, na którą trudno nam odpowiedzieć ze względu na intymny charakter sprawy.

Anieli S. Szczerze jesteśmy wdzięczni na słowa uznania, tem więcej, iż pochodzą od osoby, która jak widać z uwag, doskonale orjentuje się w czasopiśmiennictwie polskiem. Chodzi nam o dostarczenie czytelnikowi nietylko godziwej i interesującej ilustracji życia bieżącego, lecz również o zaopatrzenie jej w nienużącą treść, przesiąkniętą ideałem służby narodowi i państwu. Staramy się być jaknajbardziej bezstronni, a jedynem kryterjum, które stosujemy, to zdrowy rozsądek.

Romanowi K. Zgadzamy się z poglądami Pana w zupełności. Jeśli chodzi o nas, to stuka Pan do otwartych drzwi. Z nadesłanego materjału po opracowaniu redakcyjnem skorzystamy w najbliższych numerach. Musimy nieco stuszować ostrość Pańskich uwag, pomnąc na to, iż słowo, choć nie z głazu, może rozbić kości. Zwłaszcza tam, gdy w grę wchodzą te czy inne osoby, specjalnie zwracamy na to uwagę.

Waleremu M. Można wyczyniać różne niefrasobliwe koziołki, chodzić na rękach, stawać na głowie, ale to nie będzie jeszcze sztuką pisania. Sztukę cechuje prostota i piękno — to sedno rzeczy. Świetnie Pan to wyczuł, załamując ręce nad twórczością tego rodzaju, która staje się raczej „wyczynem“ sportowym, niż przejawem ducha w człowieku. Dziś to taka sama epidemja, jak szkarlatyna czy tyfus.

Walerjanowi Żykowi. Za jednanie nam nowych abonentów bardzo dziękujemy. Okazowe numery posłaliśmy.

Józefowi Prz. Niestety, tylko do kosza. Dziwiłoby pana samego gdyby było inaczej.

Wandzie. Dziękujemy za okazaną interwencję. Radzi jesteśmy, że potrafiliśmy zjednać sobie tak gorącą sojuszniczkę na gruncie L..., gdzie napróżno usiłowaliśmy nawiązać kontakt z kolporterami. Próby te jeszcze raz przekonały nas o tem, jak trudnem jest krzewienia czasopiśmiennictwa w warunkach, gdy, w ogromnej większości wypadków, zdani jesteśmy na łaskę nieodpowiedzialnych elementów. Występując w obronie własnych interesów, postaramy się nadać tej sprawie odpowiedni rozgłos, by opinja publiczna ogółu myślącego społeczeństwa stanęła po naszej stronie i raz wreszcie pomogła nam przezwyciężyć te trudności.

Zygmuntowi Zabieglińskiemu. Książki wysyłamy, przepraszamy za niedopatrzenie administracyjne.

Sprawił nam Pan rzetelną przyjemność, pisząc w swym łaskawym liście:

„Mimo podwyżki, jak to słusznie zaznaczyła Redakcja, „Ilustrowany Tygodnik Polski“, nie przestał być nadal najtańszem pismem ilustrowanem w Polsce. Bogata treść, bardzo wyraźne i piękne ilustracje, jak również estetyczna szata zewnętrzna czynią tygodnik ten bardzo wartościowym i nadają mu swoisty urok, czego brak często wielu wydawnictwom tego rodzaju. Niska cena prenumeraty — biorąc pod uwagę obecne trudne warunki wydawnicze — umiejętnie dobrane artykuły i obfitość żywej i zdrowej lektury czynią wydawnictwo to ze wszech miar godnem poparcia. To też uważać będę za swój miły obowiązek zjednywanie coraz większej liczby prenumeratorów, gdyż to utrwali długi żywot pożytecznej placówki i przyczyni się do jej spopularyzowania tak, jak na to w zupełności zasługuje. „Szczęść Boże!“

Dziękujemy serdecznie. Tak pisać potrafi tylko prawdziwy przyjaciel prasy i obywatel, umiejący oceniać trud i wysiłek roboty publicznej.

Zwracamy uwagę wszystkich, nadsyłających rękopisy do redakcji, iż rękopisów nie przechowujemy i nie zwracamy, o czem głosi nagłówek każdego numeru „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“. Odpowiedzi udzielamy tylko w rubryce z „Redakcyjnego biurka“, wszelkie więc nadsyłanie znaczków pocztowych na odpowiedź listowną jest zbędne i bezskuteczne, jak również dopiski, zastrzegające zwrot rękopisów. Rękopisy, nadsyłane bez uprzedniego porozumienia się z Redakcją co do honorarjum, nawet w razie ich zużytkowania w piśmie, traktujemy, jako bezpłatny materjał redakcyjny.

